

PRZE KRÓJ



„Na lwa srogiego bez obrazy siędziesz” rzekł Kochanowski, choć karuzele w XVI w. jeszcze nie były rozpowszechnione. Dziś należą do popularnych, tanich i przyjemnych środków lokomocji. [Patrz reportaż na str. 8—9] Fot. Węglowski

**CZY
TEL
NIK**

**E. SZELBURG-ZAREMBINA • I. ERENBURG
A. SANDAUER • M. PODKOWIŃSKI • K. KOŹNIEWSKI
S. GRODZIŃSKA • J. MINKIEWICZ • K. I. GAŁCZYŃSKI**

Nr 123
17-23 VIII 1947
CENA 25 ZŁ

PRZE KRÓT

tygodnika

Druk piechoty
w Bibliogardzie
mał z ręk Mar-
szalskiego sztandar
zfundowany
przez miasto-
we społeczeń-
stwo. W czasie
uroczystości
wroczenia
sztabu do-
tąd gdańsk
przyjął Mar-
szalek Zymie-
rski w asyście władz
cywilnych
(fot. A. Litwin)



W katedrze lubelskiej ks. Biskup Wy-
szyński dokonał konsekracji nowego
sufragana lubelskiego księdza Zdzisła-
wa Golińskiego (fot. Film Polski)



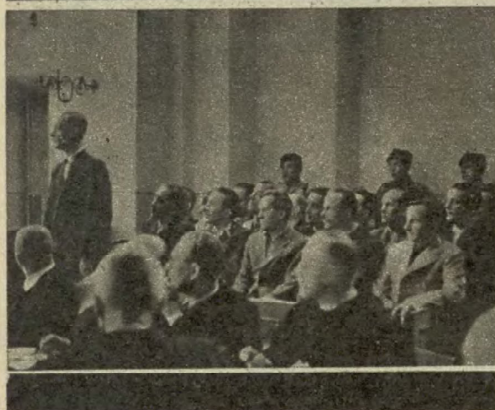
Oficerowie amerykańscy plk. J. H. Allen, F. C. Hulse i B. Wald, którzy w Norym-
berdze skutecznie współpracowali z polską Komisją do badania zbrodni niemieck-
kich — zostali odznaczeni wysokimi orderami polskimi „Polonia Restituta”. Aktu
dekoracji dokonał w Berlinie szef polskiej misji wojskowej pułkownik Prawin



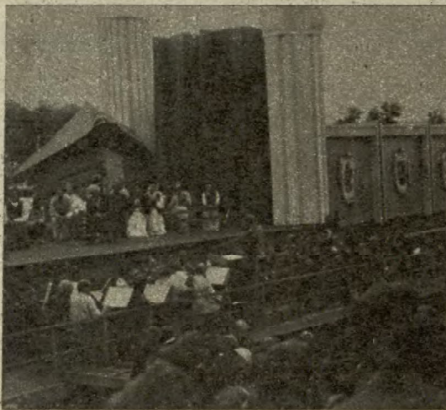
Jeszcze jeden ze zbrodniarzy,
gen. SS Hildebrand wydany Pol-
sce; na lotnisku gdańskim oczę-
kuje na transport do więzienia



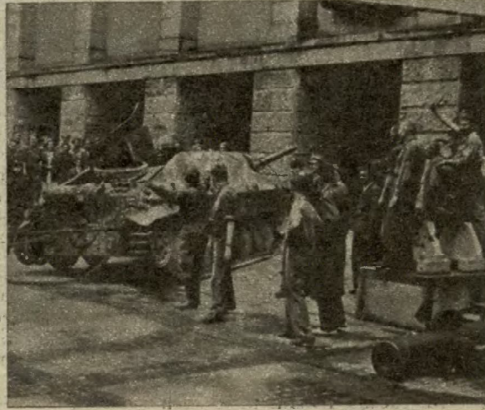
1 sierpnia zostały otwarte Międzynarodowe Targi Gdańskie na Wybrzeżu pod wytkim protektoratem
wicepremiera i ministra Z. O. Gomułki. Gości wita brama udekorowana herbami 3 miast morskich: Gdyni,
Gdańska i Sopotu. W następnym numerze „Przekroju” umiemy specjalny ilustrowany raport z Targów



Przed Sądem Wojskowym w Krakowie toczy się proces
organizacji podziemnej, na czele której stał Niepokó-
lczycy, komendant główny WIN, oraz Mierzwia wice-
prezes wojewódzkiego PSL. Na zdjęciu ława oskarżonych



Krakowski Teatr Akademicki w czasie wakacji
płylnie na dwóch barkach Wisłą z Warszawy do
Gdańska, dając po drodze przedstawienia mo-
nuszowskiej opery „Flis” (fot. Film Polski)



8 sierpnia spod gruzów poczty głównej w Warszawie
odkopany został czołg „Chwat”, który zdobyty na
Niemcach, służył powstańcom. Czołg „Chwat” umieszco-
ny został w Muzeum Wojska Polskiego (fot. „Czytelnik”)

Droga biegnie na Koźle. Droga prowadzi tam, gdzie zbiegają się dwie rzeki: Odra i Kłodnica. Droga kończy się w tej chwili i dla mnie, nad kanałem.

Gładka i nieruchoma jest woda w kanale. Skrzące, ruchliwe fale słońca zalewają kanał. W słońcu pławia się pola płowe, tak jasne, ogrody barwne. W słońcu tonie ciemny starodrzew parku na brzegu kanału.

Jest cisza. A czasem krótki krzyk mew przywianych tchem wielkim z daleka. A co jakiś czas, od strony służu, odmierzony regularnie przeciągły gwizd syreny. I oto po gładszynie kanału, mewom na wspak, suną szeregiem płaskie barki — węgiel, węgiel, węgiel. Most.

Na moście gromadka młodzieży. Parę dziewcząt, chłopców kilku. Sukienki w deseni: w kratkę, w kwiatki, szary harcerski mundur, harcersza mundur zielony, białe, niebieskie koszule, krawaty czerwieni pod szyją i szyje nagie, wykwitające opalenizną z rozchylnych kolan. O balustradę mostu obok tezek z książkami, wsparte łokcie i dłonie pomagają patrzeć.

Minęła niepostrzeżenie długa chwila czasu. Statki odpłynęły. Wody w kanale wygładziły ślad po nich. Mewy zakrążyły z piskiem nad wodami. Pikują. Chybają, trafiają zdobycz. Otrząsnęły w powietrze deszcz kropel ze skrzydeł i z dziobów.

Pociągnął wiatr zapachem jaśminu od zarośli. Stówek śpiew ranny kończy. Słowa na moście stały się lotne. Mają świeżość rosy i pogodę nieśmiertelną szesnastej wiosny. Wbrew przeżytym sześcioletom wojny młodzi — są młodzi.

Ich młodość jednak istnieje obok okropności zapadłych w nią. I zło przeplecione jest z nią w desenie tragiczny. Zło zniszczyć — dobra nie naruszając, ale, owszem, spowodować jego rozrost i rozkwit — ludzi dojrzających obowiązek — to względem młodzieży.

Komisja Porozumiewawcza Organizacji Młodzieżowych na gorąco w pierwszych dniach powojennych wystarała się o przydziałenie Ośrodka Młodzieżowemu tego, co zostało z pałacu renesansowego i stuhektarowego parku pruskich magnatów przemysłu niemieckiego, książąt Hohenlohen-Oehringen w Ślawieicach pod Koźlem, w województwie Śląsko-Dąbrowskim.

Była zima. Stary park stał w śniegu. W alejach zaleskami zwalone leżały olbrzymie dęby, lipy, brzozy. Zdrutgotane konary, polamane gałęzie sterczały ze śniegu, nurzały się w błocie. Rozrzucone po parku sześćdziesiąt budynków mieszkalnych, służbowych, gospodarczych — ziało pustką i zniszczeniem. Pałac straszny brakiem drzwi, okien, podłóg, odartymi z obić ścianami. Przygnębiał śladami po obrazach, rzeźbach, kominkach. Po sztabie lotniczym niemieckim, który tu rezydował, zostały tuż w węglów pałacu ponure bunkry w kształcie betonowych uli. Zostały na trawnikach i w krzewach, ongi ozdobnych, szkielety samochodów i wszelki brud i odpadki. Tu i ówdzie — miny.

Trzeba było młodzieńczej odwagi i dojrzałego, przewidującego spojrzenia w przyszłość, żeby zdecydować: Bierzemy to w ręce.

Zdarzają się tacy zapalczywi ideowi, działacze i zarazem wytrawni wychowawcy.

Na początku mała tu jest ich liczba. Warunki mieszkania i żywienia były przecież ciężkie ponad normalną wytrzymałość ludz-

ką. Lecz znaleźli się tacy wytrzymali. Nie było jeszcze uczniów, gdy już zaczęli zbierać się nauczyciele ze wszystkich stron kraju.

Rychło ściągnęła i młodzież. Różna. Zbyt różna. Tułali się w owym czasie na tych ziemiach młodzi ludzie, dziewczęta i chłopcy, odezwani od własnego społeczeństwa, których dosięgło okrucieństwo niemieckich więzień, obozów koncentracyjnych, przymusowej, niewolniczej pracy, którzy poniewolnie uczestniczyli w bezładnym ryzykanckim wojennym życiu. Niektórzy zasmakowali w nim. Obok nich nieliczne, ale przyciągnęły pospolite wagabundy — złodziejaski, wykołajone dziewczęta żądne przygód.

Prędko jednak sito ślawieckiego życia oddzieliło niepożądany element. Bezapelacyjnie nienadający się do tego życia — odpłynęli, kto został, na tego mogła już liczyć nowa społeczność ślawiecka, jak na fundament.

Tu trzeba było — robić! Bez przebiegłości — dosłownie, zaciskając pas na chudym (z początku!) brzuchu, zakasać rękawy i ręce urabiać po łokcie, od rana do nocy, głowiąc się nad tym, aby robota szła jaknaj-sprawniej i wyniki dawała jak najlepsze. A w pierwszym okresie pracy trzeba było własnymi siłami zorganizować nawet zbrojną ochronę ośrodka. To także.

Kogo przyjmowano na uczniów i wychowanków? Młodzież pozbawioną opieki rodzicielskiej.

ryzli (tu jakże trafny jest ten wyraz „stworzyli“) uczniowie: stropy, ścianki, nawet maszyny ściągnięte z różnych miejsc — o to oni zadballi. Stary majster promienieje gdy o tym mówi: ta horda wyrostków — to jego synowie.

— W zimie, gdybyście nas byli odwiedzili — uśmiecha się z odrobiną dobroduszej złośliwości — chuchalibyście w palce: pracowaliśmy przy temperaturze poniżej zera, przy mrozie po prostu.

Tak, już to słyszę tutaj parokrotnie: węgla nie było, wielu rzeczy nie było. I mimo to — takie osiągnięcia. Młodość mierzająca siły na zamiary? Nietylko. Coś więcej, na co trafiamy tu na każdym kroku.

Czas ponagla. Przechodzimy kolejno przez mroczną kuźnię z żarzącym się w głębi ogniskiem, gdzie uczniowie przygotowują surowiec, przez warsztat ślusarski, przez montownię. (Wydział mechaniczny posiada już silnik Diesla, turbiny wodną, kompresor, tokarki, obrabarki, skomplikowane aparaty elektrowni i in.).

Chłopcy majstrują zapamiętałe, każdy schylony nad swoim zadaniem.

Zatrzymuję się przy jednym takim, najmłodszym obywatelu, który zatroskanym wzrokiem porównuje rysunek na leżącej przed nim kartce z „arcydziełem“ zgrzytającym mu pod piłnikiem. Na pytanie otrzymuję odpowiedź, że jest to, a raczej będzie, żelazna o-

móg państwowych. Więc myśli się tutaj o stopniowym rozwinięciu własnej produkcji rolniczo-handlowej i przemysłowo-warsztatowej. I zdaje się to być na dobrej już drodze. Warunki terenowe rozwojowi w tym kierunku sprzyjają. Materiał ludzki także daje rejonu na spełnienie tego rozsądnego zamierzenia.

Tymczasem jeszcze wszystko jest w załazku, jak te kurczęta z inkubatora w kurniku trzęsącym się od pisku małych karmazynów, do którego nie zaniedbujemy zajrzeć.

Ale, okazuje się, że im dłużej kręcimy się między zabudowaniami, tym więcej mamy do zwiedzenia. Nie dziwne to. Młodzieżowy Ośrodek Szkolenia (popularnie: MÖS) w Ślawieicach obejmuje: szkołę powszechną, gimnazjum i liceum ogólnokształcące, szkołę gospodarstwa domowego dla dziewcząt, szkołę spółdzielczą, gimnazjum krawieckie, gimnazjum mechaniczne, warsztaty budowlane, warsztaty elektromonterskie, zakład szewski (z jakąś znakomitością podobno w swym rodzaju), zakład krawiecki, magazyny, szereg takich instytucji jak sklep spółdzielczy, piekarnię spółdzielczą, fryzjernię spółdzielczą itp.

Jest to poprostu całe miasteczko. Miasteczko młodzieży. Pełne dynamizmu, nie wolne wprawdzie od drobnych błędów, mające swe wewnętrzne trudności i nieuniknione przeszkody z zewnątrz, ale, co tu dużo mówić — po prostu, promieniuje młodością szczerą, ufą, niezakłamaną w patosie pokrywającym tak często egoistyczne wyrachowania ludzi starszych.

Młodzież zorganizowana tu jest w społeczeństwo kierujące się własnym statusem, do którego w miarę czasu i doświadczeń życiowych wnosi uzupełnienia i poprawki. Samorząd — to doskonała szkoła obywatelstwa.

I tu właśnie na gruncie samorządu przede wszystkim rozwija się w sposób naturalny i konsekwentny współzycie czterech gromad, na które podzielona jest młoda społeczność ślawiecka, będąca członkami czterech organizacji młodzieżowych: OM TUR-u, Harcerstwa, Wici, Związku Walki Młodych.

Gdy obok jasnowłosego, śniadego chłopaka, gdy obok bladej rumianej dziewczyny siedzę w szkolnej ławce i patrzę na te dokoła mnie dzieci jeszcze przecież, które są już jednak usamodzielniającymi się ludźmi — mam w pamięci to wszystko, przez co każde z nich przeszło w swym krótkim życiu, zanim wyładowało tutaj. Był tam głód i poniewierka, strach nieczłowieczy, ziemia spod nóg wyrwana i wyrwana wiara z serca, otarcie się o zbrodnie, zbratanie się ze śmiercią, patrzeć bez zmużenia powiek w oczy cudzej i własnej niedoli.

To pokolenie obciążone przeżyciami ponad miarę krótkogolwiek z poprzednich pokoleń, znalazło w sobie siły do przezwyciężenia ponurego ciężaru i trafnie wydobyla ze swych doświadczeń te, które dziś tak waleń przyczyniają się do budowy Miasteczka Młodzieży.

I nie jest ważne to, gdy jasne i ciemne głowy pochylają się nad białymi kartkami zeszytów, a spod palców mniej lub więcej błęgie płyną rzadki słowa oznajmujących o wielu godzinach dyskusji burzliwych i cichych przemysleń: „dlaczego

EWA SZELBURG-ZAREMBINA

MIASTECZKO MŁODZIEŻY

Co zapewnił tej młodzieży? Bezpłatną naukę, bezpłatne mieszkanie i wyżywienie, w miarę możliwości odzież i przedmioty niezbędne do codziennego użytku.

Jaki jest socjalny skład tej młodzieży? 47% to młodzież robotnicza. 25% młodzież chłopska. Reszta pochodzi z rodzin pracowników umysłowych (wszystkich jest niespełna siedemset, a Ślawieicie mogą pomieścić 1800).

Młodzież, ona to, świeżą wciąż energią i pracą nieskapioną przy pomocy fachowej starszych doprowadziła „gospodarskim“ sposobem i doprowadza wciąż jeszcze do stanu użyteczności budynki szkolne i gospodarcze, sale wykładowe i warsztaty, ogród.

Ceni się to, co zbudowało się własnymi rekami, szanuje się to do czego przyczyniło się własną głową.

Tu jest co cenić i szanować.

Zaraz za bramą u szerokiej drogi wjazdowej stoi słup. Przypomina z daleka indiańskie totemy, tak na nim innogosc jakichś barwnych oznak. Podchodzimy bliżej — to tylko pomysłowy drogowskaz najeżony plastycznymi nazwami instytucji rozmieszczonych w olbrzymim parku.

Wybór trudny. Lecz, że trwa upał, zneceni miłym chłodem cienieści alei, ją wybieramy. A, że doprowadzi nas ona do warsztatów gdzie pracują uczniowie gimnazjum mechanicznego, tym lepiej.

Te sale pojemne w niskich, długich parterowych budynkach stwo-

prawa piłki. Więc — zadanie programowe i zarazem przedmiot, który przyda się obok, kolegom — stolarzom.

Właśnie przechodzimy do sąsiedniej stolarni. Przyszli mistrze stolarcy kwapią się w tej chwili, i to kwapią się nie żartem, z wykonaniem półek kwiatowych. Kwiaty! To nas tak zwraca w stronę ogrodnictwa, że tylko krótkim zdaniem wyrażamy jeszcze podziw dla stołków i stołów wyprodukowanych na potrzeby Osiedla i zdajemy nową drożką.

Szklarnie (z niczego), inspekty (z niczego), zagony z rozsada. I naturalnie kwiaty, kwiaty, którymi stroi się sale, klasy, izby mieszkalne, gazony. Ale najważniejszą „personą“ wśród tej „zielenizny“ są w tej chwili sadzonki pomidorów. Staram się więc patrzeć z należnym szacunkiem na to cuchnące zielsko.

I gdy entuzjasta ogrodnik z entuzjastą naczelnym dyrektorem wylizają mi tysiące tych lilipucich krzaków, które przy końcu lata, aby odciążyć budżet, obciążą się tysiącami kilogramów wspaniałych, pożywnych i cennych (drogo-cennych) owoców — w oczach robi mi się szkarlatno, jakbym już stała pośrodku plantacji tych ongi egzotycznych włoskich „pommo doro“, złotych jablek.

Ale w tej chwili stoję wśród młodych, świeżo posadzonych drzewek owocowych nowozalożonego sadu.

Zdrową troską kierownictwa jest chęć uniezależnienia się od zapo-

go należą do mej organizacji"... Ale ważne jest, że ci młodzi członkowie OM-Turu, Harcerstwa, Wici, Związku Walki Młodych, istotnej wartości swoich organizacji muszą do wodzić codzien i o każdej porze — w nauce, w pracy, w sporcie, zabawie.

Współtowarzyszy będących współzawodnikami nie łatwo ołśni frazes, nie podbije tromtadractwo. Jedno jest, co przekona ich — robota.

Twórcza robota zyskuje wyraźnie na współzawodnictwie organizacji.

Toteż niech będzie młodzieży zastawiona w jej poczynaniach jak największa samodzielność, jaknajszersza swoboda. Wstrzemięźliwość dorosłych opiekunów wyjdzie tu na dobre.

Dla mnie ostatni dzień pobytu w „Mosie“ kończy się popołudniem.

Przed jednym z budynków mrowisko chłopców. W słońcu na soczystej trawie postawiony, dymi pojemny termos smakowitym zapachem grochówki na mięsie. Nęca oczy i podniebienie miski z zieloną sałatą na stołach, skwarki jak złote pszczoły gęsto obsiadły nałożone kopytoziemniaki na talerzach.

Ilość kaloryczna i jakość witaminowa potraw — to dużo, ale nie wszystko. Jedzenie gromadne, jedzenie „z kotła“ powinno jedzącym smakować. I smakuje młodym towarzyszom, a to już zasługa koleżanek, uczennic szkoły gospodarstwa domowego. One prowadzą kuchnię młodzieżowego ośrodka szkoleniowego.

Chrupiemy ze smakiem temat ósmej lekcji pieczenia — kruche ciasteczka, wyciągnięte z gorącego piecyka przez oddział młodych kucharek i, nie pozwalając sobie broń Boże na żadne aluzje do przesolonych zrazików, słuchamy dramatycznego opowiadania o heroicznej walce z dymiącym przewodem kominiowym. O walce, podczas której trzeba było wołać na pomoc... kolegów.

Gdy po posiłku opuszczamy jadalnię dziewcząt, na środkowej alei mijają nas, nie zauważywszy, spora grupka starszych chłopców. Depcząc sobie po piętach zwróceni są w stronę mężczyzny, który idzie z nimi, pośrodku nich. Widzę, że rozmawiają i że rozmowa jest bardzo ożywiona. To nauczyciel historii i jego słuchacze bezpośrednio po wykładzie mają sobie jeszcze wiele do powiedzenia.

Mimowoli wspominam oddzielony zaledwie szerokością pasma wody kawałek pustyni usianej gęsto złowieszczymi bunkrami, zasnuty resztkami drutów kolczastych rdzą żartych — miejsce po niemieckim obozie jeńców... skrawek minionego czasu, minionego świata. Gdyż tamten czas i tamten świat przecięzione są raz na zawsze, mimo, że dech ich trujący włóczy się i jeszcze czas jakiś będzie się włóczył po zakamarkach dusz i ziemi.

Gdy zamyka się za mną brama parkowa, długo jeszcze słyszę szum starych drzew, które okryły młodym liściem swe okaleczenia, zmieszany z szumem różnych sztandarów powiewających zgodnie nad siedmioma setkami młodych dziewcząt i chłopców zdających z siłą żywiołu w świat budowany według socjalistycznego prawa wolności i braterstwa.

I dobrze mi jest pomyśleć w słońcu lata, że solidarne ręce naszych dzieci wykuwają klucz do zamkniętych dla nas drzwi szczęścia.

EWA SZELBURG - ZAREMBINA

ARTUR SANDAUER NOTATNIK Z PODRÓŻY

Najbardziej jednolite w stylu ze znanych mi miast europejskich, kwintesencja baroku, miasto wykuszów i arkad, starych rynków i prastarych legend, Praga — ma poza tym dla nas, Małopolan, ten specyficzny urok, że wskrzesza w nas atmosferę dzieciństwa, cały urządniczy i ustabilizowany, jeszcze wówczas nieatomowy świat cesarsko-królewski.

Charakter Czechów, jak naszych Poznaniaków, kształtował się w walce z Niemcami. Aby pokonać wroga, musieli zyskać pewne jego cechy pozytywne. Ich praktyczność i gospodarność wynikała z konieczności. Gdyby byli inni, nie oślabiliby się.

Ruch narodowy nie przybierał tu formy powstań. Zbyt małe — dla narodu tak trzeźwego — szanse powodzenia, brak elementu najbardziej bojowego, dobrowolnie zmienionej szlachty — wszystko to sprawiło, iż bardziej niż o niepodległość chodziło tu o zachowanie języka i kultury. Irredenta czeska była dziełem filologów raczej niż rycerzy; odzyskanie wynarodowionej rodziny — wygraną bitwą. Toteż puryzm lingwistyczny sięgał tu przeszłości; mowę codzienną tworzone świadomości i ze wszystkich języków słowiańskich ten jest najmniej zachwaszczony słowami cudzoziemskimi. Jest w tym wszystkim, obca

nam, dbałość o drobiazg, pedantyczny nieco patriotyzm.

Używać — przed 1848 rokiem — języka tak przez biurokrację niemiecką i własne wynarodowiające się warstwy wyszydzonego, było dla inteligenta, niemal aktem cywilnej odwagi. Toteż przełomem, równym bez mała naszym powstańcom, był w dziejach Czechów pamiętny „bal georginiowy“, którego uczestnicy, studenci i oświatowcy, przybrani w narodowy kwiat „jilżynę“, mówili, po raz pierwszy, wyłącznie po czesku.

Z walki o język wynikła, wystawiana obecnie w Pradze, klasyczna sztuka widowiskowa Františka Tyła, „Fidlovačka“: nazwa odbywających się corocznie w najstarszej dzielnicy praskiej, Nusle, zabawy ludowej, przypominającej nieco nasz lajkonik. Z zawartych w niej pieśni, które, bez wyjątku, zdobyły szeroką popularność, jedna zrobiła nawet karierę polityczną: „Kde domov můj“ stał się hymnem narodowym.

Podobna z intrygi do niezliczonych komedii klasycznych, Menandra, Terencjusza, Moliera (dwoje młodych, chcąc się pobrać, napotyka na opór rodziców) tym się jednak od nich różni, że, jeśli u Terencjusza na przykład skrupuły rodzicielskie wynikają z niewolniczego pochodzenia narzeczonej, u Moliera z dziwacznych upodobań starszej generacji, która pragnie narzucić je młodym, to u Tyła chodzi o rzecz bardziej istotną: o język mianowicie. Przeciwno sobie stają dwa obozy: reprezentant ludu, patriotyczny szewc i bogata, zniewolona maślarka. Dookoła niej groteskowe, mówiące niemiecko-włoskim volapükiem, towarzystwo, fałszywy baron Dudek, zalecający się równocześnie do panny młodej i do jej pokojówki; zakochany w tejże pokojówce pocziwina Niemiec, przerobiony zresztą przez reżyserię w dobie, gdy o pocziwności Niemców innych nieco nabrano wyobrażeń, na Czecha. Losy tyłu sprzecznych miłości i interesów rozstrzygają się dopiero na nocnej zabawie, Fidlovacze; i dopiero ona, poparta potężnym argumentem murów praskich, przynosi zwycięstwo słusznosci i nawrócenie maślarki. Osoby działające, podobnie jak i widzowie, nie mogą się oprzeć wymowie zaklętej w tych murach historii, która nakłania do czeszczyzny bardziej może wymownie, niż tyrady patriotycznego szewca.

Lecz oto, wyrwawszy się ostatkiem sił ze słodyczy praskiej, wzmożonej jeszcze przez serdeczne przyjęcie, jakie nam zgotowali znakomici przyjaciele Polski i Polaków, prof. Karol Krejčí i p. Helena Teigova, ruszamy dalej w niepewny świat, załudniony przez komisje celne, wagony restauracyjne, różnorodnych podróży i przy miłnie uśmiechniętych niemieckich konduktorów. W Norymberdze wsiada do wagonu chudy i gadatliwy Amerykanin, który, po 5-minutowej znajomości, dzieli się z nami swymi poglądami na hierarchię narodowości (najpierw Szkoci, potem Anglicy, Irlandczycy, Niemcy, Hiszpanie, Francuzi itd. itd.), na politykę (tylko Ameryka cieszy się rzeczywistą wolnością, gdyż jakkolwiek jej obywatel może nazwać Trumana — czymkolwiek) i na erotykę. Wszystkie kobiety są niewierne. Wracający z frontu żołnierze zastawali najczęściej swe małżonki w cudzych objęciach. Sam należy do poszkodowanych. W miasteczku Pensylwania, skąd pochodzi, ilość zdrań wynosi wśród małżeństw w wieku 18—25 lat — 50%, wśród starszych — 70%. Amerykanin jest smutny i pociesza się statystyką...

Tymczasem zbliża się Paryż...

ARTUR SANDAUER



Scena zbiorowa z drugiego aktu „Fidlovački“ sztuki Franciszka Tyła, w reżyserii Jaromira Pleskoka, z dekoracjami Adolfa Weniga i muzyką J. F. Fischera



Scena z trzeciego aktu między „pocziwym Niemcem“ i piękną pokojówką



Dekoracja Weniga do „Fidlovački“, przedstawiająca starą Pragę w nocy

NAFTA CZY KORAN?

Stary, 67 letni, na pół ślepy król Saudii-Arabii, Abdul-Azis-Ibn-Saud, władca 6 milionów dusz i 40 synów, podobno najbardziej absolutny władca na ziemi, przekroczył, ku zgorszeniu ortodoksyjnych mahometan, przepisy Koranu. Mianowicie przyjął wizytę szeregu kobiet Amerykanek z odsłoniętymi twarzami. Stało się to w czasie wielkiego bankietu, jak na cześć władcy Arabii wydał ambasador USA, p. Rives Childes. Bankiet był suty. Król siedział obok ambasadora. Król jadł palcami pieczoną owcę, ambasador widelcem i nożem smażoną wątrobę młodego wielbłąda. A wzajemna czułość stąd pochodził, że dwa wielkie amerykańskie towarzystwa naftowe: „The Texas Company” i „The Standart Oil Company of California” dzierżawią od 1933 roku ropodajne tereny państwa Ibn Sauda. Dziennie wydobywa się tu 200 000 beczek ropy, a jego królewska mość dostaje od każdej beczki 22 centy, co daje w sumie 44 000 dolarów dziennego dochodu. Warto więc zlekka sprzeniewierzyć się Koranowi. Koran czy nafta? Wierność przykazaniom Mahometa czy 44 000 „miękkich” każdodziennego zysku na czysto? — Ibn Saud wybrał „miękkie”.



MAMY POKÓJ!



W czasie wojny nietaktem była normalna śmierć w łóżku. Od tego były bitwy, naloty i egzekucje. Domy też zapalały się wówczas tylko od bomb, miotaczy ognia, V1 i V2, „krów” itp. Teraz jest już po wszystkim, wobec czego do swych dawnych praw powróciły normalne pożary. W ostatnich

tygodniach spaliła się kopuła Bazyliki w Budapeszcie, straty 25 000 funtów (1); ministerstwo oświaty w Brukseli, strata bezcennych archiwów (2); największe kino w Ss. Leonards, W. Brytanii, straty 100 000 funtów (3); zbiorniki benzyny w Los Angeles, straty 3 000 000 funtów (4). — Bowiem mamy już pokój...

DZIEKI CYWILIZACJI...

W pustyniach Południowej Afryki wędrują z miejsca na miejsce, w wiecznym poszukiwaniu żywności i wody, resztki potężnego niegdyś plemienia Buszmenów. Po dziś dzień nie znając rolnictwa, prowadzą koczowniczy tryb życia, utrzymując się z polowania. Przed laty, gdy pierwsi przybyli Holendrzy zobaczyli ich w niskich krzakach („busz” — od tego nazwa), było to wielomilionowe plemię wędrujące po olbrzymich przestrzeniach. Dziś jest ich już tylko 7500 ludzi na wymarcie. Nie tylko im nie posłużyła cywilizacja. Stała się coraz mniej strasna dla coraz większej ilości ludzi.



FOT: SAPI PLANET NEWS

SPRAWY EROTYCZNE

Ty mój Erosie! — zwykły szeptać dziewczęta młodym ludziom, jeśli takowi robią wstrząsające wrażenie. Bezwątpienia miała rację — szep-

cząc tak — ukochana Angela Colarossi, który przed 54 laty, jako 18-letni młodzieniec, pozował rzeźbiarzowi brytyjskiemu Alfredowi Gilbertowi do posagu Erosa. Rzeźba ustawiona na Picadilly Circus zyskała sławę światową, stając się prawie tym dla Londynu, czym wieża Eiffla dla Paryża, Sfinks dla Kairu, czy Kolumna Zygmunta dla Warszawy. W obawie przed bombami schowano ją w roku 1939 do schronu, skąd powróciła teraz na swe stare miejsce, by żyjącemu dotąd Angeli Colarossi (na zdjęciu niżej) przypominać jego boską młodość.



Józef Feldman: **BISMARCK A POLSKA**. Wyd. drugie. Spółdz. Wyd. „Czytelnik”. Kraków. 1947. Str. 430.

Postać „Żelaznego Kancelarza” — Bismarcka należy do tych figur historycznych, które będą fascynować przez wieki całe zarówno zawodowych historyków, jak ludzi zwykłych. Są to ci mężowie stanu, którzy potrafiłi swój naród wysunąć do rzędu wielkich potęg. Tego dokonał z Niemcami Bismarck. Koalicja nie potrafiła zniweczyć w roku 1918—20 potęg Niemiec unfundowanej przez Bismarcka. Wydaje się, iż dopiero rządy Hitlera okazały się dla dzieła Bismarckowskiego zabójcze, lub przynajmniej bardzo szkodliwe. Dla Polaków Bismarck jest kimś szczególnie interesującym i szczególnie nienawistnym. Losy naszego narodu i tego człowieka spłoty się ze sobą jakimś fatalnym węzłem. Nie co innego przecież, jak śmierć, elementarna nienawiść do Polski kazała Bismarckowi za wszelką cenę szukać pokoju, a nawet przyjaźni Rosji Carskiej, a to znów stało się główną przyczyną wielkości Kancelarza, zwycięstw nad Austrią i Francją oraz ugruntowania Rzeszy Niemieckiej pod hegemonią Prus. Było to zresztą ogniwem pewnego ciągu historycznego, który zaczął się przed wiekami. Brandenburgia, Krzyżactwo, Prusy, Rzesza potęg — nalały głównie dzięki osłabianiu i wypieraniu Polski, tuczyły się Polską. Hitler nie byłby możliwy bez Bismarcka, Bismarck nie istniałby bez Fryderyka Wielkiego, a ten znów nie byłby Wielkim gdyby nie rozbiory Polski, i nie byłby królem gdyby nie fatalny traktat welawsko-bydgoski, który z kolei... wystarczy już tego cofania się wstecz. Józef Feldman przedstawił ten tok historyczny w sposób jasny i przejrzysty w swej innej pracy, też wydanej już po wojnie: „Problem polsko-niemiecki w dziejach”.

Fragmencem tego problemu jest sprawa polska za czasów Bismarcka i w ujęciu jego polityki. Dzieło zmarłego przed niedawnym czasem prof. U. J. Józefa Feldmana „Bismarck a Polska” jest gruntowną analizą stosunku Kancelarza Rzeszy do sprawy polskiej, przeprowadzoną na szerokiej płaszczyźnie całej polityki europejskiej w tym czasie. Doskonale udokumentowane dzieło jest pasjonującą lekturą. Bo i tamte czasy były zaiste pasjonujące. Kariera polityczna Bismarcka zaczęła się w dobie Wiosny Ludów. Niemcy deklarują się wówczas patetycznie z przyjaźnią do narodu polskiego, a młody polityk Bismarck powiedział „nie”. Albo silna Polska albo silne Niemcy. Odrodzona Polska musi mieć dostęp do Bałtyku, a to nie leży w interesie Niemiec. — Ten refren będzie się już odąd powtarzał przez cały ciąg działalności Bismarcka.

W rozgrywce zaś prusko-rosyjsko-francuskiej w czasie Powstania Styczniowego, kiedy to już, już koncepcjom Kancelarza groziła zasadnicza przegrana, jeśli na koniec odniósł zwycięstwo — to raczej dzięki swemu antypolskiemu instyngtowi niż politycznej przebiegłości.

Z analizy psychologii i światopoglądu Bismarcka widać jak na dłoni podobieństwa i różnice między nim a Hitlerem, między którymi to mężami stanu zbyt proste przeprowadza się dziś paralele. Bismarck bowiem nie był nacjonalistą.

Omówienie przeszło czterysta stronowego dzieła, dużego formatu, niemożliwe jest w niewielkiej notatce. Wypada nam tylko zwrócić uwagę czytelników na te znakomite książki, niezbędne dla każdego, kto chce mieć o stosunkach polsko-niemieckich jakiekolwiek zdanie.

Koź.

TWÓRCZOŚĆ. Miesięcznik literacko-krytyczny. Rok III. Zeszyt 7—8. Lipiec—sierpień 1947.

Nowy podwójny numer miesięcznika otwiera wspomnienie z lat dzieciństwa pt. „Na Kowel czy Brześć”, pióra H. Boguszewskiej. Interesującą pozycją są pierwsze dwa akty dramatu pt. „Kaligula” Alberta Camusa, który mimo młodego wieku i szczupłego dorobku zalicza się do czołowych pisarzy współczesnej Francji. A. Wysocki pisze o swych „Trzech spotkaniach” z Władysławem Reymontem w początkach naszego stulecia. Obszerny esay o twórczości Emilia Zegadłowicza ogłasza Julian Krzyżanowski. Ponadto, z ciekawych prac wymienić należy szkice o malarstwie Pierre Bonarda, niezmiennie rzeczowe i sumienne sprawozdania, krytyczne (Broniewski, Ważyk) oraz notę „O wielką literaturę dla młodych”. W „Ankiecie o dwudziestolecie” głos zabierają: Bratny, Miłosz, Natanson i Zawieyski.

MARIAN PODKOWIŃSKI ILUSTROWAŁ K. FERSTER (CHARLIE)

ŚWIĘTO BASTYLII I INNE TROSKI PARYSKIE

KORESPONDENCJA WŁASNA

Paryż, w lipcu 1947

Byłem kilkakrotnie po wojnie w Paryżu, jeszcze w czasach, gdy wyglądał on jak miasto okupowane przez wojska amerykańskie, a małe jeep'y były jedynymi prawie wehikulami na Polach Elizejskich, widziałem go później, podczas Konferencji Pokojowej, kiedy znów przypominał wielkie dni polityki światowej, którą tak zawsze egzaltują się Francuzi, a kiedy z okien Café Colisée można już było obserwować modne eleganterki paryskie i pierwsze limuzyny produkcji francuskiej i kiedy „Café Quirinal” na Marbeuf chwaliła się w swym pierwszym menu befsztykami à l'anglaise. Zylem w nim późną jesienią 1946 r., kiedy walka o władzę między partiami szła w parze z walką ulicy paryskiej o chleb z kuku rydzy. Głód był wtedy tak dotkliwy, że ludzie chętniej interesowali się kulisami „walki o byki”, jaką toczył ówczesny minister aprowizacji Farge z deputowanymi, niż wynikami walki byków na Vel d'Hiver.

Czy od tego czasu Paryż zmienił się? Zdania są, jak zwykle, podzielone.

Politycznie i gospodarczo z pewnością na gorsze, mimo że pozornie może wydawać się, iż miasto to żyje jak za „dawnych, dobrych lat”. Późornie ulice są pełne i gwarne, kawiarnie natłoczone, sklepy uginalają się pod kosmami owoców, wszelkiej żywności, delikatosów, win i innych rarytasów, które rzadko znajdziesz w innym mieście, witryny zaś na rue Rivoli, pod arkadami, czy na Faubourg St. Honoré lub w pobliżu kolumny Vendôme — zadziwiają luksusową mozaiką rozmaitych tkanin, welen i jedwabi. Nie trzeba też dodawać, że szaleń-

stwo perfumowe rozlało się na cały Paryż, nie ustępując innym kosmetycznym produktom fantazji francuskiej. Od zielonego tuszu do rzęs poczynając, a na fioletowych farbach do włosów kończąc. Elegancka bowiem paryżanka nosi obowiązkowo zieloną suknię w deseń, czerwony płaszcz — ma fioletowe włosy, zielone rzęsy i liliowe paznokcie...

A więc, w sklepach jest wszystkiego w bród, tylko że nikt tego nie kupuje. Piszac „nikt” nie mamy oczywiście na myśli ani bogatych Amerykanek, które teraz szaleją w Paryżu, ani innych cudzoziemców, względnie tej garstki paryżan, jaką stać na luksus eleganckiego życia po wojnie. Jeśli ktoś zboczy jednak z głównych ulic paryskich i zapuści się w haszce „interioru” Paryża, przekona się rychło, że liczne kawiarnie świecą pustkami, że skle-

za pokój w hotelu płaci 4 tysiące. Własne mieszkania bowiem należą do najdroższych rzeczy w Paryżu. Luksus kilku eleganckich dzielnic Paryża, przytłoczony jest więc wielką nędzą i niepokojem, które nekają to „najszcześniejsze miasto na świecie”, jak pisał ongiś Anatole France.

Powiadają nam tutaj, że nareszcie Paryż ma dobrą komunikację. Na pozór może i tak wygląda. Pod Operą czy na Placu Zgody długo trzeba nieraz czekać na okazję przedostania się na przeciwny chodnik. Ale złudzenie to pryska, jeśli zabawimy się w topografów i obejrzymy dokładnie Paryż. Komunikacja dla przeciętnego zjadacza drogiego — i bardzo podłego — chleba paryskiego, jest raczej luksusem i wysiłkiem równocześnie. Metro i autobusy, owe pocztwie słonie na wrotkach, podróżowały dwu-



Chorągiew „Iriscolore” pod Łukiem Triumfalnym w dniu 14 lipca

py są biedne i mają tylko to, co wydaje się na kartki oraz trochę owoców i warzyw, że blawatnicy i tandeciarze nie mają nic poza swymi własnymi troskami do sprzedania. W małych bistrach poza lichym piwem nikt „nie idzie”, jak wyznał mi właściciel takiego zakładu, a handel koszykowy dzielnie rywalizuje z koncesjonariuszami wielkich składów warzywnych. Ludzie biednie są tu ubrani, a dzieci niedożywione. Podwórza wąskich domów pełne hałasu, kłótni i swarów. Z mieszkań „jedzie” zapach czosnku i kwaśnego wina. Kobiety nieuczesane i ubrane byle jak. Kapelusze zastąpione kaszkietami, po których znać historię ostatnich lat wojennych. Prawda to, że w Paryżu wszystko można dziś dostać. Ale prawdą jest również, że maszynistka zarabia 8—10 tys. franków miesięcznie, a

krótkie. Pojazdy te są przy tym zawsze tak przepelnione, że oprócz straty czasu, człowiek wychodzi z nich po prostu jak z magla. Tak-sówki są, i nawet niezbyt drogie — przeciętny kurs wraz z nieodzownym napiwkiem wynosi ok. 50 franków — ale żeby zjawić taką złapaczkę, trzeba być człowiekiem niezwykle cierpliwym, silnym nerwowo, wytrzymałym fizycznie, linoskoczkiem nieraz, a nawet Indianinem o sokolim oku i zwierzęcym słuchu.

Potrąfiliśmy z Osmańczykiem godzinami łapać taksówki, aby dostać się na konferencję na Quai d'Orsay; wysiłki nasze z reguły kończyły się na porażce i metrze w stronę Concorde. Jak szaleńcy rzucaliśmy się z okrzykiem „Stop, Monsieur” na sam środek rojącej się od pojazdów jezdni (szoferzy paryscy jeżdżą jak wariaci, którzy



Tłumy robotników w pochodzie demostacyjnym na Placu Bastylli

urwali się z kaftana), aby złapać taksówkę i w końcu usłyszeć z ust szofera sakramentalną odpowiedź, że — jedzie w innym kierunku i tylko tam może nas zawieźć, że jest teraz pora obiadowa, a szofer — też człowiek, że owszem zgadza się ale tylko na dwie osoby (nas zaś było trzy, w aucie natomiast aż pięć pustych miejsc!), albo wreszcie, iż jest zmęczony i jedzie do domu. Inne taksówki były oczywiście już dawno zajęte. Zasada paryską wydaje się powiedzenie: „jeśli spieszysz” ci się dokądkolwiek, najlepiej idź piechotą. Zajdziesz szybciej i w dobrym zdrowiu...”

Trudno wymagać więc od paryżan, aby w takich warunkach cieszyli się i radowali życiem, tylko dlatego właśnie, że przypadek sprawił, iż urodzili się nad brzegami Sekwany. Są tedy smutni i przygnębieni, starając się cały swój temperament wyładować w polityce.

Paryż był zawsze miastem, które żyło polityką, zjazdami, konferencjami i kongresami. Francuzi mieli i mają nadal kult dyplomacji i cnót kulinarnych. Ale dobry Francuz — to jest syty Francuz, któremu poza tym biegnie renta w banku, lub dojrzewiają kupony w sejfie. A głodny Paryżanin jest zawsze złym politykiem i niecierpliwym obywatel. Stąd owa fala strajków.

Ale nie tylko ustawiczne strajki i kłótnie polityczne są objawem niepokoju francuskich. Mielśmy ostatnio nowy przykład. Było nim tradycyjne święto 14 Lipca, дума demokracji francuskiej i rozbawionych gawroszów. Po wojnie pierwszy raz świętowałem wraz z Francuzami zburzenie Bastylli. Wiele spodziewałem się tym razem, zwłaszcza, że od kilku dni nie przedstawiano mówić o nawrocie do dawnej tradycji. Zapowiadano i tańce na ulicach i bale na placach i fajerwerki na Placu de la Concorde, słowem bal na kółkach.

Święto 14 Lipca trwa zazwyczaj trzy dni i trzy noce. Tak było i tym razem. Ale — doprawdy — nie widziałem czegoś bardziej żałośliwego jak dni świąteczne w eleganckiej części Paryża i bardziej podniosłego jak ówo święto w robotniczych dzielnicach i na plebejskich bulwarach. Wydawało się, że mieszczaństwo paryskie, owi episyerzy z wąskich uliczek „starego” Paryża, postanowili zaprotestować i nie bawili się, skoro robotnicy tym razem zamysłali wyjść tłumnie na ulice.

Nie tańczono tym razem w Paryżu, jak dawniej. Nieśmiało posuwały się tu i ówdzie nieliczne pary po chodnikach, Boul-Michel, czy

w okolicach Boul-Saint-Germain. Hałasowali najwięcej przekupnie i właściciele bud i kiosków na skwerach; niemniej hałaśliwie udawali zabawę akademicy na placu przed popiersiem Augusta Comte. Na Champs Elysees, w wytornych kawiarniach dystygnowana publiczność ziewała dyskretnie przy aperitifach, słuchając gardłowych śpiewów ulicznych żebraków, z których plaga walczyły cały Paryż.

Płonął zniczn pod Łukiem Triumfalnym, drżała na wietrze olbrzymia pod nim „tricolore”, dzieci tłoczyły się przed wieńcami na płycie „Nieznanego Żołnierza”, ale nie dochodziły tu okrzyki manifestantów z placu Bastylli.

Była to zdaje się w ogóle jedyna dzielnica Paryża, która potrafiła bawić się na Quatorze Juillet. Ludęk francuski korzystał tu z przywilejów swego święta, jakby chcąc podkreślić, że on tu coś jeszcze znał. Bastylla i Pola Elizejskie — oglądane tej samej nocy — to jakby dwa światy, dwa społeczne obrazy, dwa polityczne obozy jednego miasta.

Pięknie i zabawnie było tej nocy na Placu Bastylli. Ale jeszcze większej emocji doznaliśmy nazajutrz, gdy ulicami Paryża deflowa-



DO REDAKTORA „PRZEKROJU”!

W związku z artykułem „O sławie murzyńskiej, która zgasiła w Łodzi”, chciałabym donieść, że grób Aldridge’a na cmentarzu ewangelickim przy ul. Ogrodowej jest w tej chwili zaniedbany, lecz można go bez trudności odnaleźć. Znajduje się tam tablica kamienna z napisem:

IRA ALDRIDGE
† 7. VIII. 1897

oraz fotografia artysty w kostiumie scenicznym. Jeśli chodzi o nazwisko, czy brzmia ono Altra Aldridge czy Ira Aldridge, to raczej należy przyjąć to ostatnie, gdyż właśnie z tym brzmieniem spotykałam się w literaturze. Jeśli się nie mylę, właśnie Ira Aldridge grał rolę Otella z Modrzejewską, gdzie scenę morderstwa zagrał z tak niezwykłym realizmem, że Modrzejewska istotnie zaczęła się bać, a wówczas aktor szepnął „proszę się nie bać. Ja tylko gram”.

80-lecie śmierci aktora, przejdzie prawdopodobnie bez echa, a warty byłby przypomnieć go, tym bardziej, że data jego śmierci zbiega się z festiwalami szekspirowskim.

Leśniewska Melania (Łódź)

DO REDAKTORA „PRZEKROJU”!

Prawo do odpoczynku dotyczy wszystkich istot żywych, nie wyłączając Zielonej Gęsi, która w pierwszym rzędzie winna korzystać z bogostawieństwa czasów jako że całonocna praca na pewno ją wyczerpała.

To mając na względzie ośmielamy się zaprosić ją na dwutygodniowy bezpłatny pobyt na naszym obozie w Wędrzynie na Ziemi Lubuskiej.

Obawiając się jednak że sama czułaby się niedobrze, z radością powitałabyśmy wśród nas, również jej Patrona, K. I. Gałczyńskiego. Jeśli chodzi o wyżywienie dla Zielonej Gęsi, to zapewniamy, że produktów przez nią chętnie spożywanych jest w bród. Jeśli chodzi o warunki zdrowotno-widokowe, to określamy słowem: Szwajcaria. Mamy wrażenie że nawet p. Hermenegilda K. czułaby się u nas świetnie. Gdyby dotychczas nikt nie zaprosił Osiłka Porfiriona, to chętnie ujrzymy Go u siebie. Do Obozu naszego jedzie się przez Poznań, Rzepin do stacji Wędrzyn. Gdyby Szanowny zespół mógł skorzystać z naszego zaproszenia, prosimy o powiadomienie nas telegraficznie.

Uczestnicy Obozu Bratniej Pomocy
St. Uniw. Łódzkiego
Za Komendę: R. Skowroński

Komunikujemy, iż teatr „Zielona Gęś” wysłał do Was na wczasy, najbardziej wyczerpanego współpracownika, który prosi aby we czwartek po południu czekały na stacji konie.

DO REDAKTORA „PRZEKROJU”!

W Nowym Sączu, przy ulicy Sienkiewicza 2 wisi od kilku tygodni wywieszka:

CUKIERNIA „SEX APPEAL”
Józef Kosiba

Nic dziwnego, że tłumy nowosądeczan spieszą do cukierni, spodziewając się, że za kotarami, w tylnych pokojach kryją się zakazane owoce. Tymczasem rzecz polega na pospolitym kancie, na który ja również dałem się nabrać. Wszedłem do lokalu. Personel ubrany skromnie, fizjognomie kelnerek chmurne. Z napojów podaje się tylko oranżadę i piwo. Nie tracąc jeszcze nadziei, podszedłem do właściciela i szepnąłem mu kilka słów na ucho. W rezultacie zostałem wyrzucony z hukiem na ulicę. Upraszam z tego miejsca publicznie o natychmiastowe zdjęcie szyldu i nieprowadzenie przyzwolonych konsumtów w błąd.

„Nowosądeczanin”

Krysińska, Opole: Streptomycyny nie ma dotąd w handlu. Najlepiej ogłosić przez radio apel do jej nielicznych posiadaczy.

Wikos w górach: Informacji udzielił Wydział Szkolnictwa Zawodowego.

Edmund H.: Myślałm już o tym wiele, lecz na wprowadzenie do „Przekroju”, „Historii malarstwa” — na razie nie mamy miejsca.

Mgr. Czarner: Z uwagi na brak miejsca nie możemy wykorzystać.

A. Czekalski: Być może wykorzystamy w fragmentach. Cierpliwości.

St. Huzowa: Reportaż ciekawy, jednak z tych terenów zamieściliśmy już wiele korespondencji.

H. Koan: Przyjęliśmy do wiadomości rozprawę o „Klinicznym znaczeniu witamin C”. Chyba pomylił Pan adres.

Ktoś z „Wylegarni”: Kłedy będziecie już oplotzeni, powiadomcie nas o tym. Pomówimy wtedy na serio.

I. Bragert: Śleczeliśmy pół dnia, lecz nie byliśmy w stanie odcyfrować.

Z. Łączkowski, SLK — Warszawa, List ze Śląska, B. J. Janicki, W. Mikołajczyk, Dr. M. Jarosławski, E. Petraitis: Nie skorzystamy.



Rzęsienie oświełony lecz niezbyt tłumny tym razem Plac Zgody w dniu święta Quatorze Juillet

która zmieniła się już w prawdziwą sztafetę demonstracji politycznych. Politycy paryscy zaś — nie chcąc dopuścić myśli, że Francja zeszła po wojnie na plan drugi a czasy Brianda minęły bezpowrotnie i broniąc się przed smutną rzeczywistością, popełniając liczne błędy. Stąd kłopoty na arenie międzynarodowej, i gaffy polityczne, jakich dopuszcza się z własną szkodą Quai d'Orsay, siedziba pp. Bidault i Hervé Alphand, szarej emigracji francuskiej polityki. Kraj, który był niedawno wierzycielem całego niemal świata, stał się obecnie jego dłużnikiem. Francja ma poza tym kłopoty z koloniami i niczym niezaspokojone tęsknoty imperialne, które pchają kraj ten z jednej niekonsekwencji na drugą. Czyż bowiem rozsądnym było z jednej strony podjąć się kierownictwa tzw. Komitetu dla współpracy ekonomicznej, opartej na Planie Marshalla, a z drugiej — ustąpić z ust tego samego dobroczyńcy wyrok na aspiracje i nadzieje polityczne Francji w Zagłębiu Ruhry?



Śpiewający żebracy uliczni są prawdziwą plagą dzielnic Pól Elizejskich

ly nieprzebrane masy świata robotniczego stolicy nadsekwąskiej.

Pochód był imponujący i wymowny politycznie. Transparenty obfitowały w drastyczne nieraz napisy antyrządowe, a podobnym krzykom nie było końca. Pod hasłem „Jesteśmy obrońcami republiki” przed trybuną honorową, gdzie rezydował Thorez i Dulos, defilowały zwarte oddziały byłych maquis, partyzantów, Francitreurów, ochotników wojny hiszpańskiej, więźniów obozów niemieckich, delegacji komunistycznych z całego świata, nie wyłączając amerykańskich, delegacje emigracji narodowych, nie wyłączając robotników polskich.

Tegoroczny lipiec, zimny zresztą i deszczowy, nabrzmiał odgłosami konferencji politycznych i pomurkami strajków, był tak odmienny w świętowaniu Quatorze Juillet, jak współczesna Francja odmienna jest od dawnej, pocziwej, pachnącej frankami i lawendą „la douce France”.

MARIAN PODKOWINSKI



Na dancingu pod gołym niebem
można łaskoczyć shimmy, chadeste,
na i, jako „ostatni przebieg”
fango Milonga. Oto para Cyganiń
(po lewej) w szesnastym instruc-
cie „Gdy zobaczysz ciotkę mą”...
Uważaj korzystając z okazji! Przy-
grywający bowiem gromolom, za-
kupiony już przez Ministerstwo
Kultury, zostanie w tych dniach
odesłany do muzeum zabytków

Ilja Erenburg, polowicki który po żyłtyć pacył we Francji, i oba-
kła kłakłur kłm ziemską, wielbielcy senci matulski w Mińsku-
i przyciel wielkości współczesnych pšary francuskich – je-
najwybitniejszą obecną prasę radziecką. Historia o dówędy
paryzkański, który w rozkazy ziemian zabronił swym podko-
nikom i kłakłur kłm ziemską, wielbielcy senci matulski w Mińsku-
Erenburga, traci anegdota, lecz jest najzupełniej autentyczna. O-
rządnowo przestępstwo na polski i cieżącący się u sw wielkimi
powiedzeniem „Upadku Purysza” – koniec obecną sw nową po-
kolejność, która w rozkazy ziemian zabronił swym podko-
nikom i kłakłur kłm ziemską, wielbielcy senci matulski w Mińsku-
stały się wielka sensacja literacka, Bohaterami jej powieści są Fran-
cuz, Rosjanie, Niemcy, parzy Amerykanów. Akcja toczy się równo-
cześnie we Francji, w Rosji, w Niemczech i na froncie wschodnim,
w Warszawie, w Krakowie, w Łodzi, w Warszawie, w Warszawie,
czwartej tej książki, Akcja trwa się w Warszawie, w Warszawie,
czwartej tej książki, Akcja trwa się w Warszawie, w Warszawie,

Trazha chociaż godzinke się przespaci — powiedział feldfebel Gruen, zwany „Karaluchem”, wysiadając z kłosa — jednak nie przechodził, teraz swi-drował w dołku. Od niechcenia za-pytał Karalucha:

chem", z uwagi na trudność i rzadkość wasy, które umiał stroszyć bardzo pociesznie.

Po chwili wstał jednak, zaklął i ziewnął:

— Czy zdarzało się panu być w opatach, że się tak wyrażę?

— Nie wyłaziłem z opatów. Kiedyśmy wkroczyli do Saumur, na

niwiał: „...może jak zamę...”
 Tej nocy nie mógł nie mieć ranać.
 Od dziesięciu dni kwatrował już
 tej wsi, dreczeni przez komary,
 uładował... co przysłał
 kres uderzył.
 Młodzieńki szeregowiec, o twarzy
 błękitno-puchłej i bardzo ja-
 wny, wstąpił do kwateronów —
 „prekretanizm — i, spłutw raz
 po raz, a właściwie udawał, że plu-
 je” — w uścisk dawno mu zaschł
 i...
 sze czołgi były już na La Rochelle;
 repnia, patyczany, a tu — diani
 w...
 Francuzi? Akurat! To byli czer-
 ni i leżli na nas, jak stado kóz afry-
 kańskich. Była robota do samego
 końca, a...
 cy to diabiele wściekłe, że zdy-
 czo...
 kęto jakoż wazył...
 „może sobie, jeżeli im to przy-
 szło...
 szwankiem, wazyłko jedno, na widok
 naszych czołgów nie zdążył nawet

był to syn kamienicznika z Hamburga, Klepper. Miał się, ale bardzo chciał być zuchem; niech Lotka się dowie, że Klepper jest mężczyzną, a nie szlachetlikiem! Lekkotliw! gdzieś w podwórzu. Klepper rozmyślał na głos:

— Daj mi, proszę, jakiś przykład...

Frajer z żelaznym Krzyżem poparł Karalucha:

— Kłody mieli tam carów i Niemierkich generałów, to jeszcze mogli się bronić. Teraz potrafią już tylko gnić. To kolos na glinianych

— Paul mi opowiadał, jak w Niedercsteinie załatwiono się z tymi wszystkimi. Był tam pewien komunistka, młotek. Paul mówił, że można go było rozgnieść jednym palcem, ale w żaden sposób nie dawał się złapać i oni tam w końcu uszali.

Charków jęszcze tak powiadał:
— Führer przeciw otwierał,
że to oni chcieli na nas napadę.
Znaczy się, że mają dużą armię...
— Ja myślał, chłopczyu, że to
Łuksemburg, że mają dużą
z armię. Z tego wynika, że będzie-
my musieli przyszykować duże
o boby dla jęńców.

Czterdziestoletni unter Bauer, nauczyciel rybników w cywilu, zżymał się: co za świnia historia! Po kiego diabła leżymy do tej Rosji? Czy Rosjanie też muszą zostać nazi? Wystarczy, że to przez nich musimy marować i łezkać.

Karaluch był w Polsce, był we Francji i ze smarkaczami, którzy jeszcze prochu nie wchłani, inial zwyczaj rozmawiać pobłażliwie, ale z pańską.

— To nie wybory, chłoptasie; komunistka czy nie, — wpaścił

...jedno, nie będzie miał czasu się spamiętać. Jednego tylko zabije – nie jest jestem tankistami. Wszędzie się człowiek spóźnia. Moj młodoży brat służy w czołgach; ci sąsiadscy zlizują całą smietankę. Już, już...

Wtedy nadchodzą "teresa koleżki", które
widzą wino są już wypite, a "młode
lady" – wysypały. "Koleżki" prze-
mogły się i zechciały! "Młode"
myślały, że niechęć byłoby zdjąć się
z jakas dziewczynka i posłać fotogra-
fować Łotcie. Niech wie, kto jest
prawdziwym mężczyzną! Strach

decy. Tak dziewczynę w Kielcach
pewno zaszaleł... Jak jej było na
mielcie – Janina. Obrażdzenie mnie
bierze. Jak ci młodzi się cieszą!...

Łotcia zdecydował się napisać
list do Łoty i zapytać, czy go-
rnołotnie, obcuje z... by nie od-
zwiać! dziewczę: kobiety lubią śmiać

This image shows a blank, aged, cream-colored page, likely an endpaper or flyleaf of a book. The paper has a slightly textured appearance with some minor creases and discoloration, characteristic of old paper. The left edge of the page is bound, and the overall tone is a warm, off-white or light beige.

A oto (po prawej) przedmiot, który — w ramach ogólnej walki z alkoholizmem — przetrwała kandydatom na abitymentów przedować (za małe opłaty) zwinąć na wielką flaszkę wódu ciemnowego

ków. I w ogóle poco jej pisać o miłości: kobiety lubią zimnych pożeraczy serc. „Strasznego noc ostatnia, noc oczekiwania.“ Starannie wykreślił słowo „strasznego“ i napisał „feralna“. W Polsce jest dużo ładnych dziewcząt, koledzy zachwycali się nimi. Moje natomiast myśli biegły w inną, daleką stronę, hen, na wschód, gdzie wschodzi słońce i gdzie, być może, zajdzie moja gwiazda! Za godzinę — pierwsza bitwa. Czy przypominasz sobie nasz spacer w Oberwaldzie? Spełnił wszystko, o czym mówiłem. Słę ci uśmiech z pierwszej linii frontu!!! Skończył swój list, wyjął notes, podarowany mu przez Lottę i napisał: „21 czerwca. Noc. Rozkaz. Nikt nie śpi — szykujemy się. Okropność.“ Spróbował znaleźć pociechę w tabliczce czekolady, ale zaraz wypłul odgryziony kawałek — młodości podchodziły mu do gardła.

Richter sam nie rozmawiał i nie słuchał innych; myślał o Hildzie. Spi chyba o tej porze. A jeżeli nie? A co, jeśli Robert jest u niej? W doworcu byli razem... Został w Berlinie. Może jest właśnie u Hildy? Przyjechał o dziewiątej, ona zaś pozwoliła mu odczekać swoje pół godziny w salonie. Przeglądał album „Gotyk niemiecki“ i ziewał nerwowo. Hilda tymczasem przebiegała się; właśnie włożyła kimono, to niebieskie z czaplami, potarła korkiem od perfum szyję, piersi, weszła, spojrzała na Roberta okrągłymi, smutnymi oczami: Ach, to ty, mon ami? „Jak gdyby nie wiedziała, kto na nią czeka. Potem krzyknęła: „Ach, Robercie, co robisz?“ „W tej chwili mówię: „A co, jeśli Kurt się dowie? Nie chciałybyśmy go zmartwić.“ Robert też się lituje: „Biedny Kurt!“ „Nie, to być nie może! Poco właściwie się dreczyć tymi kretyńskimi historiami? I jeszcze w taką noc... Trzeba o tym wszystkim zapomnieć. Richter zmusił się do słuchania rozmowy.

— Walczyli z Napoleonem — perorował frajter — to święta prawda. Ale wtedy jeździło się pocztą, a teraz to decydują motory, teraz te przestrzenie nikogo nie przestraszają.

Richter pomyślał z melancholią: Ci ludzie nie wiedzą, co to jest Rosja. To nie kraj, to swój świat. Step, lasy... Jedzie się, jedzie i nie widać końca... Człowiek cały czas czuje swoją znikomość. Można tam przepaść z kretesem nawet bez żadnej wojny — człowiek zdechnie i nikt tego nie zauważy... Oczywiście, Rosjanom brak naszej organizacji. To dziwni ludzie, nie można na nich polegać: W trakcie rozmowy nigdy nie wiadomo, co takiemu za chwilę strzeli do głowy... Może nas powitają kwiatami, wcale się nie zdziwi. A może będą walczyć, jak wariaci. Byłem tam, ale bo to ich znam? Pułkownik Wilke też nie o nich nie wie, bo mówił o „półpokojowej penetracji“. Można zrozumieć Francuza, Anglika, Holendra, ci zaś tutaj — to azjaci. Sam führer ani podejrzewa co to za orzeszki...

— Pewno, że ich sporo — mówił Karaluch — ale Chinczyków jest jeszcze więcej. Wojna to nie arytmetyka... Byłem świadkiem, jak nasi wzięli do niewoli francuskiego generała, miał na piersi osiemnaście wstążeczek — widać, nie takie już było co, a płakał, jak ciele, bo się przekonał, że wobec Niemców jest niczym. Rosjan może być więcej niż mrówek, to nie ma żadnego znaczenia. Powiadam ci, chłopysiu, na nasze cacka nie można pchać się z byle widłami. Podobno kozacy mają dobre konie, chciałbym po-

patrzyć, jak te szkapki będą wyglądać, kiedy pokażą się nasze czołgi!

Batwan, pomyślał Richter, on myśli, że Rosjanie nie mają czołgów. No, a Kuźnieck — to od paradu? Zdać się, że niedoceniamy przeciwnika. Co oznacza ta „półpokojowa penetracja“? A mówić nic nie wolno, bo zaraz powiedzą, że szerzę defetyzm. Zresztą, po co ich straszyć, jeśli już jest wojna, to trzeba zwyciężyć, wtedy wszystko się skończy. Boże, niechby już prędzej przyszedł koniec!... Hilda powiedziała: „Będę czekać i rok, i dwa.“ Kto się dowie, co ma kobieta w sercu?... Powinniśmy ich pobić — mamy lepszą organizację i więcej dynamizmu. Takiego Karalucha nie powstrzyma, lezie naprzód, bo o niczym nie myśli; można go zabić, ale przekonać nie sposób; na tym polega nasza siła. Nie ma dwóch zdań, że zwyciężymy. Tylko, że nie wszyscy wrócą z tej Rosji... Führer, oczywiście, wszystko wziął pod uwagę. Polska, Francja, Norwegia, Termopile — ten człowiek zna się na wojaczce... Będzie marnie, jeżeli nie damy sobie z nimi rady do zimy. O zima rosyjska — to prawdziwe świństwo. Nie bywałem tam zimą, ale ciarki mnie przechodziły, kiedy mi zaczęli opowiadać o tych swoich mrozach...

— Richter, chcesz rumu? To jamajka — z Bordeaux.

Richter wypił duszkiem pół kubka.

— Ma ładny zapach, ale głowa od niego boli. Rosyjska wódka — to coś innego, cuchnie wprawdzie, ale co to za wspaniała mikstura! Można wypić dwa takie kubki, a rano człowiek się budzi rześki, jak niemowlę.

— Piłem raz wódkę w rosyjskiej restauracji na Motzstrasse.

Richter uśmiechnął się:

— Każda rzecz jest dobra na swoim miejscu, ja piłem wódkę na Syberii.

Urosł odrazu w ich oczach — wszyscy spojrzeli na niego z szcunkiem, nawet weterani wyprawy francuskiej. Któż nie zna Francji!... A Klepper zapytał:

— Sądzi, że oni będą się bronić?

— Tego nie wiem. Im dłużej ich się obserwuje, tym trudniej cokolwiek zrozumieć. Ci ludzie są pozbawieni organizacji psychicznej. Kiedy piją tę wódkę, to zżymają się, stekają, klną, myślałbyś, że im ktoś każe lykac chininę. A widziałem znów, jak rosyjskie dziewczęta układały cegły; powiadam wam — dzika scena, palce we krwi, starte paznokcie, a te dziewczyny śmieją się, jak na weselu. Łam sobie głowę jak chęć — Rosjan zrozumieć nie można w żaden sposób. Tak, czy inaczej — skąd im do naszej organizacji, rozbijemy ich, to jasne jak dzień. Po co się bawić w zagadki — czy będą się bronić, czy może nie, to ich sprawa, i w jednym i w drugim wypadku będziemy w Moskwie i daję ci słowo, że z dużą przyjemnością zjem cały funt kawioru.

— Czy tym smaruje się chleb? — zapytał Karaluch.

— W Berlinie się smaruje, a w Moskwie je się łyżką.

— Chyba się mylisz, wiem, że tym się smaruje chleb, jak masłem.

— Niedługo zobaczycie sami — będę wsuwał kawior łyżką.

— A jakie tam kobiety? Czy brzydsze od Polek?

— Rozmaite. Wybór niegorszy. Karaluch nastroszył wasy:

— Pierwszą kobietę pomagam w Moskwie w dzień moich urodzin!

— A kiedy są pańskie urodziny? — pośpiesznie spytał Klepper.

— W sierpniu, ósmego.

Klepper obrachował — to czterdzieściosiem dni. Ładna historia!

Frajter zapytał:

— Skąd pewność, że ta muzyka skończy się na ósmego sierpnia?

— Jestem przekonany. Ze kawior je się łyżką — w to nie uwierzę, a w Moskwie będziemy ósmego sierpnia; chcesz, to się założymy — o pierwszą moskiewską ślicznotkę. Sam policz — trzydzieści kilometrów dziennie, to niewiele, z dziesięć dni na przegrupowanie, podciąganie taborów... Rozkład jazdy przestudiowałem jak się należy...

Na uboczu siedział Klitsche, młody drałg w okularach, student filozofii. Koledzy go unikali: krepował ich zarówno swoją małowartością, jak niezrozumiałymi replikami. Gdy inni pili, flirtowali i opowiadali sobie pieprzne dowcipy, Klitsche zazwyczaj coś pisał w grubym brulionie, bądź też śleczął nad książką. Człowiek ten nigdy się nie uśmiechał. Do Karalucha i kolegów z kompanii miał stosunek pogardliwy, jedynie z Richtermem rozmawiał niekiedy o wojnie, o Nitschem, o architekturze egipskiej. Klitsche odłożył brulion i powiedział: — Idziemy do Moskwy nie na dziewczynki. Rozumiecie, co powiedział führer? Każdy z nas ma teraz jedną tylko narzeczoną... Zaciął się — i po tym krzyknął: Śmierć!

Klepper ziewnął frasośliwie, z psim skowytem. Karaluch zawarczał: Wolałbym, żeby ta twoja narzeczoną całowała się z Rosjanami...

Krótką noc dogorywała. Niebo, które i dotąd raczej drzemało niż spało, zaczęło różowieć, ożywać. Ot, tam, za tym strumykiem — zaczyna się wojna, pomyślał Richter. Ileż to książek o niej napisano i — mimo to — nie zrozumieć nie można. Tak samo — z miłością — piszą ci — i piszą a potem — zjawia się taka Hilda, córka szanowanego handlowca, zna angielski, gra na fortepianie, jednym słowem — prawdziwa panna, z dobrego domu — i naraz wszystko okazuje się potworną grą, jakbyś jechał w płonącym czołgu. Za rzeczką widać takie same płowe pola, tak samo gdaczą kury, baby noszą wiadra, jasnowłose dzieci cisną się do dział. Za czterdzieści minut wszystko się zacznie...

Richter chciał doszukać się w sobie świadomości historycznej wagi tych godzin. — Jestem uczestnikiem wielkich wydarzeń, prawnikowie będą o mnie czytać. Myśli jednak nie trzymały się kupy; to widział rozbebeszona sypialnię Hildy, to znów — ogromne, zielone przestrzenie. Kreśliło mu się w głowie.

— Ten rum to trucizna!

Klepper odpowiedział:

— A ja wypilem cały kubek i jakby nigdy nic!... Zaczyna lura, w sam raz dla prawdziwego żołnierza! Skosztuję w Moskwie tej twojej zachwalanej wódki, ale najpierw pokaż Rosjanom, co to są diabły gacie!...

— Wolnego, pętaku, to nie zabawa w kregle, tylko wojna! — Karaluch przypomniał sobie, jak pod Beauvais był zabity taki sam smar-kacz.

Inni rozprawiali beztrósko i głośno — ci o kobietach, tamci drudzy o Moskwie. Owi — po prostu chcieli się wykrzyżować; już świta, dosyć się martwić, dalej w drogę!

Klitsche znów odszedł na bok i otworzył brulion. Na tle błaknącego nieboskłonu zielona rakietka wyglądała wątle i jakoś żałośnie. Richter przypomniał sobie oczy Hildy i zachnął się.

Koguty wiejskie nawoływały się od futoru do futoru.

Karaluch krzyknął donośnie:

— Ein, zwei!

ILIA ERENBURG

DEMOKRATYCZNY SAVOIR VIVRE W ODCINKACH opracował: Jan Kłamyński

ODCINEK XXIV

BON TON W BIURZE

Urzednicy i kilenci (ciąg dalszy)

Kłopotliwym zawsze problemem pozostaje — czy przy okazji załatwiania sprawy urzędowej obowiązują urzędnika i klienta wzajemna prezentacja. Otóż zależy to przede wszystkim od stopnia ważności sprawy, którą załatwiamy. Sprawy bowiem „seryjne“ jak płacenia podatków przy okienku, lub składanie w protokole podawczym druków z prośbą o założenie telefonu — obywateli się szczęśliwie bez wszelkich towarzyskich komplikacji. Natomiast sprawa otrzymania w banku półmilionowej pożyczki długoterminowej wymaga oczywiście „audyencji“ u dyrektora, połączonej z prezentacją i wzajemnym częstowaniem popierosami. Inicjatywa winna wyjść od klienta („pan dyrektor pozwól że się przedstawię“), dygnitarz natomiast winien powstać na przywitanie klienta i potraktować go systemem towarzyskim.

Czy urzędnik, który jest przedstawicielem i duszą biurokracji, czyli dziedzicem absolutnie obcej sprawom życia wytwornego — może być mimo wszystko gentlemanem? — Oto jest pytanie. A odpowiedź: owszem, może. Pod warunkiem, że w swej zmechanizowanej jaźni dopuści do głosu również nieco ludzkiej instynktów. Bo jeśli np. załatwienie sprawy klienta wymaga wg. wszelkich biurowych kanonów trzech dni czasu, a klient dziś właśnie wyjeżdża do Kudowy na wczasy autobusem 14,30 — urzędnik może zejść na chwilę z biurokratycznych Okopów Św. Trójcy i — jak to mówią — pójść klientowi na rękę, którym to postępkim wykaże odrazu 100% gentelmenerii. Wzajemian za to ów wczasowicz, po powrocie z Kudowy, załatwi naszemu urzędnikowi świadcstwo przemysłowe w tak krótkim terminie, że urzędnik ów będzie mógł na tej podstawie założyć ognisko rodzinne jeszcze przed Adwentem. Pamiętaj! bowiem, urzędniku, że w każdej chwili możesz zostać klientem! — Oto dewiza, która regulować winna stosunek twój do interesantów.

Ciąg dalszy za tydzień

MICHAŁ F. w Legnicy. W trio spacerowym złożonym z matki, córki i kawalera — matka idzie w środku, kawaler po jej lewej stronie, a córka po prawej. W trio złożonym z panienki i 2 kawalerów — w środku Kroczy panienka. W kwartecie złożonym z matki, córki, narzeczonego i gościa — kroczą (od lewej do prawej): narzeczoną, córkę, matkę, gość. Na wąskim chodniku narzeczeń idą razem, a gość taszczy mamusię.

JULITA K. w Warszawie. Nawet otrzymane prezenty nie zobowiązują koniecznie do urządzania imienia — najwyżej do rewanżu w dniu imienin ofiarodawcy. A jeśli pani już urządziła — trzeba gości zaproszać najmnij 1m 3-4 dni naprzód (tym wcześniej im uspanialasze przyjecie) telefonicznie, listownie, lub osobiście, przy czym osoby starsze lub czelgodne — tylko osobiście.

AGATA z Zabrze. Odpowiadamy cierpliwie na wszystkie pytania. 1) Jedzenie lodów na ulicy jest drobnym, nie dopuszczalnym odstępstwem od bon-tonu, przy czym wskazanym jest zatrzymać się w tym celu przy kiosku i zjeść lody — stojąc. Jedzenie bowiem lodów w marszu, przy czym lody ciekną po brodzie i kapiają na ubranie — nie jest widokiem estetycznym. Owoc można podgrzać, siedząc w parku na ławeczce — na ulicy lepiej tego nie robić by, poza wszystkimi innymi, nie rzucić ogryzków pod nogi przechodniom. 2) Niech Pani w tym wypadku lekko pochyla głowę. 3) „Pozostaje z szacunkiem“ kończy listy urzędowe, listy nieurzędowe kończy z powodzeniem „Cauje w brodke“.

ARRASY, SZCZERBIEC i PENICYLINA

Rok 1939. — Wojna. Atak niemiecki na Polskę robi nieprzewidziane szybkie postępy. Rząd ucieka w kierunku na Rumunię. Również na Rumunię ewakuowane są co najcenniejsze zabytki muzealne. Tą drogą, po licznych tarapatach, dostają się do Francji.

Rok 1940. — Wojska niemieckie zajmują Paryż. Rząd emigracyjny ewakuuje zabytki polskie do Kanady i deponuje je w skarbcach tamtejszych klasztorów i banków.

Rok 1944. — Lotnicy kanadyjscy, przeprowadzając zrzuć dla powstańczej Warszawy, zostają strąceni przez artylerię przeciwlotniczą niemiecką i giną.

Rok 1945. — Poseł Fiderkiewicz, przedstawiciel R. P. w Kanadzie, domaga się wydania Polsce jej obiektów muzealnych. Okazuje się, iż część zabytków, a w tej liczbie niezmiernie cenne arrasy, znikła bez śladu. Wykradli je z jednego z klasztorów umyślni agenci rządu londyńskiego. Rozpoczyna się pościg za rabusiami umykającymi z łupem.

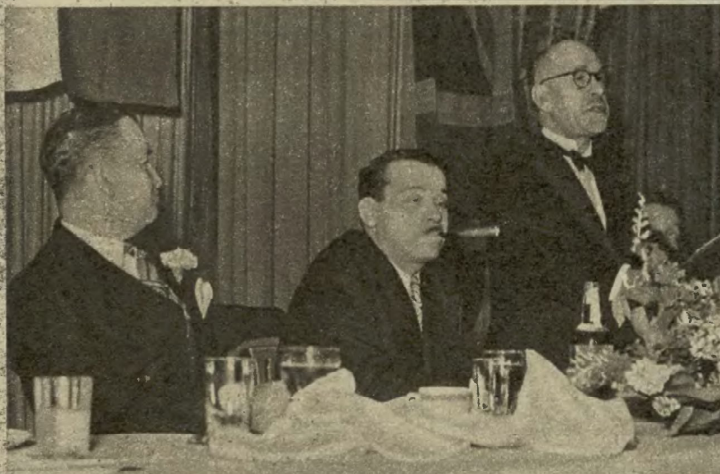
Rok 1946. — Polsce potrzebne są lekarstwa, zboże i żywność. Kanada jest pierwszym państwem, które spieszy nam z pomocą. Pierwsza penicylina przywieziona zostaje do Polski właśnie przez kanadyjskich lotników. Wiezie ją wielki samolot wojskowy, kierowany przez ekipę złożoną z oficerów: Roche'a, Caldwell'a, Harlinga, Webstera i sierżanta murzyna Phillipsa. Ta pierwsza ekspedycja kończy się jednak tragicznie. Wszyscy lotnicy giną, a samolot ulega rozbiciu. Wobec tego, na specjalny rozkaz marszałka lotnictwa, Roberta Leckie, wyrusza nowa ekspedycja i penicylina zostaje dostawiona do Warszawy. — Pomoc, której Kanada udzieliła Polsce do dnia 1 maja 1947 r., równa się sumie 5 milionów dolarów.

Rok 1947. — Starania posła Fiderkiewicza oraz rządu kanadyjskiego zostają uwieńczone powodzeniem. Zabytki polskie odnajdują się i rząd kanadyjski przekazuje je prawowitym właścicielom. W kufurze schowanym w skarbcu Banku Kanadyjskiego znalazły się: Szczerebiec Chrobręgo, jeden z najstarszych zabytków piśmiennictwa polskiego tzw. „Kazania Świętokrzyskie”, a dalej — rękopisy Cho-

Szczerebiec Chrobręgo był najcenniejszym z zabytków, ukrytych w banku



Pieczęć z kufra zawierającego wywiezione z Polski obiekty muzealne, trzyma poseł R. P., dr Fiderkiewicz



pina, historyczne buławy hetmańskie, oraz wiele innych pamiątek. Również odnalezione zostały arrasy, które już wkrótce wrócą do Polski i z powrotem zdobić będą Wawel.

Obecnie stosunki polsko-kanadyjskie rozwijają się z załazką rewindykacji kulturalnych i humanitarnej pomocy, w normalne stosunki polityczno-gospodarcze między dwoma państwami. Wymownym przejawem tego jest fakt, że jeszcze



Wdowy po pilotach kanadyjskich, którzy zginęli wioząc do Polski penicylinę, udekorowane zostały polskimi odznaczeniami. Siedzą od lewej: mrs Roche z córeczką, mrs Phillips (murzynka), mrs Caldwell, mrs Harling i mrs Webster. W środku stoi premier Kanady, Sir Mackenzie King. Drugi od prawej, to minister spr. wewn. Kanady — C. Gibbson, przyjaciel Polski

Po lewej: Poseł Fiderkiewicz został zaproszony do jednego z klubów w Ottawie, którego członkowie zebrali 16 000 dolarów na rozbudowę szpitalnictwa w Polsce



Tak wyglądają drzwi skarbcu Banku Kanadyjskiego, za którymi przechowywane były podczas wojny najcenniejsze polskie zabytki muzealne

Tak to zgola romantyczna historia spraw polsko-kanadyjskich w latach 1939—1947, znalazła swe normalne zakończenie.

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI
Materiałów dostarczył J. Złotnicki



22 lipca, w dniu Święta Narodowego, odbyła się w Montrealu wielka manifestacja Polonii Kanadyjskiej.

STEFANIA GRODZIŃSKA

WAZON

Od Cioci Heli

FELIETONOWELA

**STRESZCZENIE POPRZED-
NICH ODCINKÓW:** Maciupscy
oczekują przyjazdu cioci Heli,
od której zależy losy ich
domu. Nagle przypominają sobie,
że japoński wazon, który od
nich otrzymał, ofiarowali Pich-
cikowskiemu. W obawie, że ciocia
Hela się obrazi, postanawiają
za wszelką cenę odebrać
wazon od Pichcikowskich. W tym
celu opowiadają im zmyśloną
historię o kolekcjonerze wazo-
nów, który jakoby przyjechał
z zagranicy i poszukuje właśnie
tego japońskiego wazonu. Pich-
cikowski wazon zwraca, ale
potem interpretuje historię
Maciupskich na swój sposób.
Tymczasem odzyskany wazon
znika w tajemniczy sposób z
mieszkania Maciupskich. Płot-
ka na temat wazonu szaleje.

Dziennikarz Niecierpiak pod-
dubiał ołówkiem w uchu, po-
czym obejrzał ołówek i położył
go na stole redakcyjnym. Na-
stępnie włożył palec do nosa,
ale nie zdążył podłubać, gdyż
właśnie w tej chwili zadzwonił
telefon. Dziennikarz Niecierpiak
niechętnie wyjął palec z nosa
i podniósł słuchawkę.

— Halo. A, jak się macie, ko-
lego. Co? Nie wiem. Właśnie
myślałem. Jaki pomysł? Żeby coś
dać o tym wazonie? Hm. Ze
tyle się o tym gada, a jeszcze
nikt nie napisał... Kto wie. Mo-
żna by zapechać tym wazonem
parę dziur. Dobra. Zrobimy z te-
go bombę, poprowadzimy to
przez tydzień. Dziś zaczniemy
od wzmianki, jutro pokwituje-
my w komentarzu, pojutrze da-
my czołówkę, potem felieton,
potem list od czytelnika i bę-
dziemy to wlekić za włosy, jak
długo się da. No, dobra. Wzmian-
ka? Głupstwo. Na poczekaniu.

Dziennikarz Niecierpiak prze-
łożył słuchawkę do lewego u-
cha, przytrzymał ją ramieniem
i pisał wzmiankę, czytając ją
jednocześnie na głos.

— Halo, kolego! Słuchacie?
Więc na przykład: „Jak się do-
wiadujemy u ob. Maciupskich,
zamieszkałych przy ul. Ra-
szyńskiej 3-a wydarzył się wy-
padek zniknięcia wazonu z ja-
pońskiej porcelany. Na uwagę
zasługuje fakt, że wazon jest
specjalnie poszukiwany przez
kolekcjonera, przybyłego w tym
celu z zagranicy”. Co? Dobra.
No, na razie.

Niecierpiak odłożył słuchaw-
kę, przepisał wzmiankę na
maszynę, zaopatrzył ją pod-
pisem „Niecierp.” i zabrał się
do przeglądania stosu prasy, na-
szykowanej na stole. Przejrzał
szkic kilka pierwszych piśm,
dziennikarz Niecierpiak chwycił
słuchawkę i z wściekłością na-
kreślił numer.

— Kolego? Dobry pomysł mie-
liście z tym wazonem, tylko
niech was zląg trafi. Szkoda, że
nie macie jeszcze dzisiejszej
prasy. Co? Czy ktoś już napisał?
Ktoś! Macie chwilę czasu?
No, to słuchajcie po kolei. „Zy-
cie Warszawy”. Tytuł: „Odbu-
dowa stolicy postępuje wielkimi
krokami”. „Jak się dowiaduje-
jemy, u ob. Maciupskich, za-
mieszkałych w wspaniałym od-
budowanym przez S.P.B. domu,
przy ul. Raszyńskiej 3-a wyda-
rzył się wypadek zniknięcia
wazonu. Na uwagę zasługuje
fakt, że wazon jest specjalnie
poszukiwany przez kolekcjone-
ra, przybyłego w tym celu z za-
granic. Przybył złożył przed-
stawicielowi naszego piśma o-
świadczenie, iż wzruszony jest
niesłychanym tempem odbudo-
wy naszej stolicy”. Następnie.
„Rzeczpospolita”. Tytuł: „U-
waga na granice celne”. „Czu-
jemy się w obowiązku zasyna-
lizować Zarządowi Centrali Prze-
mysłu Ceramicznego fakt na-
jazdu agentów obcego kapitału,
pragnącego wykupić najcen-
niejszego okazy naszej ceramiki
artystycznej. Jak się dowia-
dujemy, u ob. Maciupskich, za-
mieszkałych przy ul. Raszyńskiej 3-a wy-
darzył się wypadek zniknięcia
wazonu z japońskiej porcelany. Na
uwagę zasługuje fakt, że wazon
jest specjalnie poszukiwany

przez kolekcjonera, przybyłego
w tym celu z zagranicy”. Na-
stępnie. „Wieczór”. Tytuł: „Zem-
sta płomiennego Anglika”. „Jak
się dowiadujemy, u ob. Ma-
ciupskich, zam. przy ul. Ra-
szyńskiej 3-a wydarzył się wy-
padek zniknięcia wazonu z ja-
pońskiej porcelany. Na uwagę
zasługuje fakt, że wazon jest
specjalnie poszukiwany przez
kolekcjonera, przybyłego w tym
celu z zagranicy. Na wazonie
ma być kompromitujący por-
tret znanej w sferach towarzy-
skich Londynu Lady X, żony
zmarłego niedawno lorda X.
Jeden z najcenniejszych malarzy
Wielkiej Brytanii wymalował
piękną córkę Albionu w perwer-
syjnej pozie, pragnąc w ten spo-
sób zemścić się na niewiernej
kochance”. Następnie. „Robot-
nik”. Tytuł: „Co na to tow.
prof. Lorenz?”. „Podczas, gdy
dział porcelany w Muzeum Na-

rodowym nie został dotąd udo-
stępiony szerokim masom, nie-
dobiłki polskiej burżuazji kryją
zazdrośnie w szafach swoich
mieszkańskich salonów cenne
dzieła sztuki. Jak się dowia-
dujemy, u ob. Maciupskich, za-
mieszkałych przy ul. Raszyńskiej 3-a wy-
darzył się wypadek zniknięcia
wazonu z japońskiej porcelany. Na
uwagę zasługuje fakt, że wazon
jest specjalnie poszukiwany
przez kolekcjonera przybyłego
w tym celu z zagranicy. Wola-
my o udostępnienie kultury lu-
dziom pracy”. Macie jeszcze
sily słuchać, kolego? No to na-
stępnie. „Express Wieczorny”.
Tytuł: „Tajemniczy wypadek u
ob. Maciupskich”. Tytuł drugi:
„Zniknięcie wazonu”. Tytuł
trzeci: „Japońska porcelana?”.
Tytuł czwarty: „Wazon jest
specjalnie poszukiwany”. Tytuł
piąty: „Kolekcjoner z zagran-
icy”. „Jak się dowiadujemy, u

ob. Maciupskich, zamieszkałych
przy ul. Zabkowskiej 12 wydarzył
się śmiertelny wypadek. Tytuł
specjalnie poszukiwany przez
kolekcjonera przybyłego wazo-
nu z japońskiej porcelany. Na
uwagę zasługuje fakt, że wazon
z zagranicy”. Następnie. „Głos
Ludu”. Tytuł: „Spekulanci ha-
mują przemysłowy wyścig pra-
cy”. „Jak się dowiadujemy, u
ob. Maciupskich, zam. przy ul.
Raszyńskiej 3-a wydarzył się wy-
padek zniknięcia wazonu z ja-
pońskiej porcelany. Na uwagę
zasługuje fakt, że wazon jest
specjalnie poszukiwany przez
kolekcjonera, przybyłego w tym
celu z zagranicy. Cenne zezna-
nia złożyła sąsiadka Maciup-
skich, tow. Klukowa (dzielnica
Ochota). Uwaga od redakcji:
Plan trzyletni odbudowy kraju
przewiduje produkcję podob-
nych wazonów systemem taśmo-
wym już w roku 1948”. Nastę-

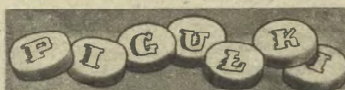
ne. „Gazeta Ludowa”. Tytuł
pierwszy: „Anglosasi ratują nasz
bilans handlowy”. Tytuł drugi:
„Przed wojną nie ginęły wazo-
ny”. „Jak się dowiadujemy, u
ob. Maciupskich, zam. przy ul.
Raszyńskiej 3-a wydarzył się
wypadek zniknięcia wazonu z
japońskiej porcelany. Na uwagę
zasługuje fakt, że wazon jest
specjalnie poszukiwany przez
kolekcjonera, przybyłego w tym
celu z zagranicy”. I ostatnie.
„Przekrój”. Zdjęcie kurpiow-
skiego wazonu... Fodpis pod
zdjęciem: „W Warszawie znikł
wazon z japońskiej porcelany.
Wazon, reprodukowany na lewo,
nie ma nic wspólnego z omawia-
nym wazonem, tym nie mniej
stanowi on piękny eksponat z
wystawy przemysłu kurpiow-
skiego w Zatrzebiu Górnym.
Fot. R. Burzyński”. Tyle dzi-
siejsza prasa. I co wy na to?
DALSZY CIĄG ZA TYDZIEŃ



(Kamyczek)

— Nie trudź się już, Hi-
policie — znalazłam za-
palki!

ROK I Łódź, 17 sierpnia br. NR 9



ORGAN JANUSZA MINKIEWICZA

DLACZEGO WRÓCIŁEM Z SOPOTU DO ŁÓDZI

Z początku niczego nie przeczuwałem
i nawet u samego wejścia do „Grand
Hotelu” poczułem się trochę odmłodzo-
ny. Odmłodzony o cztery lub pięć lat.
Jak gdybym się znalazł znów w 1942-gim
roku.

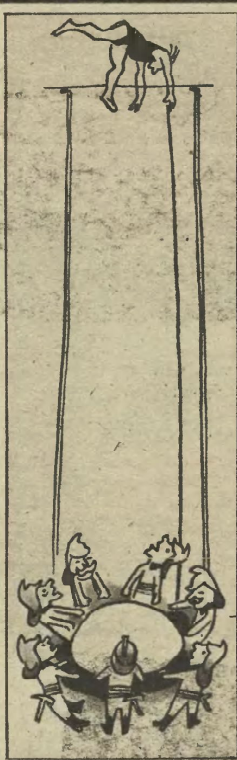
Portier, gdy go spytałem o wolny po-
kój, wykrzyknął podejrzliwie:

- Pan Polak?
- Polak — bąknąłem, czując, że to źle.
- Polakom nie wynajmujemy. Tylko
cudzoziemcom — zakończył szybko por-
tier i zgłębł się w ukłonie, bo właśnie
obokorajowiec zagadnął go po niemiecku.

Roześmiał się „nur für” i „herren-
volku” rozglądałem się po hallu i nie
zdrziłem się już wcale widokiem naj-
okazalej rozpartej w fotelach pary.
Równie rozpartę i okazałe prezentowa-
ła się ta para (pamiętam) w knajpach
warszawskich przed pięć laty. W to-
warzystwie umundurowanych lub cy-
wilnych Niemców. Nasza para spędzała
czas wesoło i beztrudnie, ubijając coraz
to nowe interesy. Nawet się trochę
wzruszyłem ujrawszy tych dwoje. By-
łem pewien, że dawno już zawiśli na
strychu, a tu tymczasem siedzą sobie
jak za niedawnych dobrych czasów,
może tylko nieco przytyli i jeszcze le-
piej ubrani. Ba, herrenvolku.

W obszernej restauracji pilnie uwa-
żałem, aby nie uisnąć przy oknie z wi-
dokiem na morze. Pamiętam przecież,
że w Zakopanem stoliki z widokiem na
góry były dozwolone „nur für...”. Za-
płaciwszy 140 zł za szklankę herbaty
i 360 zł za plasterki zeschłej szynki (wa-
żące 3-4 dekaj), wdałem się w rozmowę
z pikolakiem hotelowym.

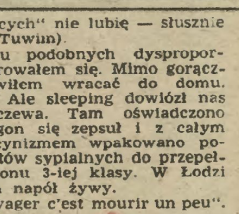
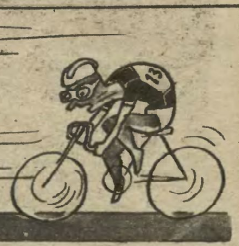
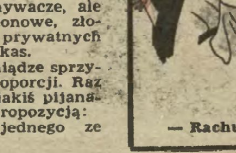
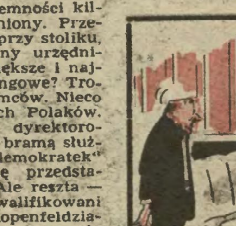
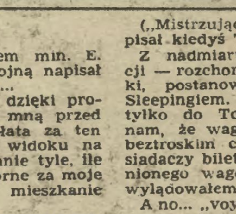
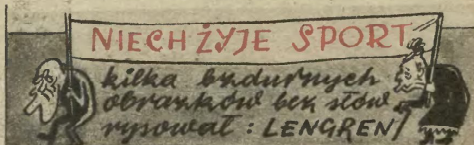
- Ile, tak przecie, zarabiasz?
- Jak dobrze pójdziesz, to i trzy ty-
sące się uzbiera za dobe.
- A co robi twój ojciec?
- Na kolei pracuje.
- Ile tam zarabiał?
- Koło trzech tysięcy.



— Miesiecznie?
— Miesiecznie.
Władający dziś wybrzeżem min. E.
Kwiatkowski już przed wojną napisał
książkę pt. „Dysproporcje”...
Pokoju w końcu dostałem dzięki pro-
tekcji zaprzyjaźnionego ze mną przed-
wojny dyr. Napierały. Opłata za ten
najtańszy w hotelu i bez widoku na
morze pokój wynosiła dziennie tyle, ile
wynosi trzymiesięczne komorne za moje
luksusowe, trzypokojowe mieszkanie
w Łodzi...

Wieczorem dancing o pojemności kil-
ku tysięcy osób — przepełniony. Prze-
ciętny, skromny rachunek przy stoleku,
to miesięczny budżet rodzinny urzędni-
czej. Ktoś zapomniał te największe i naj-
droższe w Polsce sale dancingowe? Tro-
chę „herrenvolku” — cudzoziemców. Nieco
urzędowo im towarzyszących Polaków.
Trochę neo-sanacji. Nieco dyrektorów
od czekających przed bramą służ-
bowych acz niedotartych „demokratów”
firmy „Chevrolet”. Trochę przedsta-
wicieli wolnych zawodów. Ale reszta —
to złodzieje. Nie żadni wykwalifikowani
kieszonkowcy czy uczeni szpenezdizie-
rze, żadni tam uczeni wianowacze, ale
przypadkowe, tyle że milionowe, zło-
dziezki. Nie amatorzy prywatnych
kieszoni, ale państwowych kas.

Zdobyte w ten sposób pieniądze spry-
jąją utracie poczucia dysproporcji. Raz
po raz podchodził do mnie jakiś pijana-
wy złodziej z kiełbkiem i propozycją:
— No, mistrzu, może jednego ze
mna?...



„Mistrzujących” nie lubię — słusznie
pisał kiedyś Tuwim).

Z nadmiaru podobnych dyspropor-
cji — rochorowałem się. Mimo gorą-
cej, postanowiłem wracać do domu.
Sleepingiem. Ale sleeping dowiół nas
tylko do Tczewa. Tam oświadczone
nam, że wagon się zepsuł i z całym
beztroskim cynizmem wpakowano po-
siadaczy bileatów spyalnych do przepeł-
nionego wagonu 3-iej klasy. W Łodzi
wylałowaliśmy napój żywy.

A no... „voyager c'est mourir un peu”.



— Rachunek oddzielnie, proszę!

MOTTO:

Nie wszystko leczy penicylina: cięższe przypadki u kobiet chorujących na suknię lub kapelusza (sukniśca praecox, capelusia progressiva) można wyleczyć jedynie z pomocą specjalnych preparatów konfekcyjnych, produkowanych przez eleganckie Domy Mody. Ponieważ w tej porze roku kobiety nagminnie chorują na kostium — podajemy kilka sposobów złagodzenia tej społecznej klęski.

Kobietę chorą na kostium letni (costiumitis epidemica) wyleczy jedynie model paryski f-my Robert Figuet (po prawej) zapięty z przodu na szereg guzików; układ deseni — poszczepiający

Manię prześladowczą na tle kostiumu sportowego (costiumitis vulgaris) leczy najskuteczniej skromny a szlachetny model f-my Irena, Hollywood (u dołu)



Chorobliwą tęsknotę za nowym wdziankiem spacerowym (melancholia ambulans) uśmierza kostium ciemny z jasnymi wypustkami (po prawej) f-my londyńskiej „Model Gown”



Organiczny brak sukni „do wyjścia” (atoaletosa acuta) mija przy zastosowaniu modelu f-my Irena, Hollywood (u góry) z lekkiej wełny, przybranego jedwabiem w kolorowe kropki

Damie chorej równocześnie na suknię wizytową i kostium popołudniowy (sukniśca complicata) pomoże jedynie model londyński f-my „Monbijou” (po lewej) z karczkami lamowanym jasną plisą

KONKURS DZIAŁU MODY

Nagrodę 1000 zł otrzymuje w bież. tygodniu
p. MARIA ZYBER
w Poznaniu.

Sukienka z kretonu z dużymi, nakładanymi kieszeniami, kołnierzyk i mankiety z białej pliki



do tygodnika
„PRZEKRÓJ”

exp:
K.J. Gatożyński

Szanowny Panie Redaktorze!

GENIUSZE & RZEMIEŚLNICZY

Posel Władysław Bieńkowski w swojej krakowskiej pogadance mówił ostatnio o konieczności stworzenia klimatu dla rzetelnej twórczości literackiej drugiej klasy, tej drugiej klasy, w którą tak znakomicie zaopatrywane są społeczeństwa: francuskie, anglosaskie i radzieckie. Że znakomicie, to chyba nie ulega wątpliwości, skoro nasz rynek wydawniczy zaczyna się coraz gwałtowniej karmić przekładami. Otóż Władysław Bieńkowski mówił o klimacie, to sporo, ale mnie się wydaje, że należałoby mówić jaskrawiej: o szacunku. Czymże bo jest ta dobra drugoklasna twórczość literacka po stronie producenta? Rzetelnym rzemiosłem. A po stronie odbiorcy? Kulturalną rozrywką. Przez rozrywkę do kultury. Niestety, Panie Redaktorze, nasz klan panów literatów, gdzie (słuchajcie!) namuliło się najwięcej starszylacheckich nałogów (głos: tak!), nie ma, niestety, należytego zrozumienia dla rzetelnego rzemiosła, ani dla rozrywki człowieka pracy. Tak. I jeżeli, Panie Redaktorze, będę na ten przykład pisywał mętne, ale socjologicznie terminologią naszpikowane artykuły dla mojego psa z kulawą nóżką, to wtedy powiedzą w każdym razie, że jestem hołopublicysta, ale jeżeli natomiast zacznę dla rozrywki pożytecznych ludzi, np. tacierzy, układać krzyżówki, rebusy i szarady, to oczywiście o pomniku mowy nie ma, gorzej! zakrzykną (słuchajcie! słuchajcie!), że zabawiam drobnomieszczan. A grunt to nie zabawiać, tylko pisać nudno jak flaki z olejem, byle genialnie, z gzymsem i z bigłem. W ostatnich konsekwencjach: dziwacznych w naszej kulturze prymat literatury (tej genialnej) ze szkodą dla innych bardziej rzemieślniczych środków wypowiedzi i środków kontaktu, wstręt do użyteczności, oraz kult dla rozmaitych objawień, natchnień i iluminacji. A opowiadał mi Jerzy Zaruba (a może Janusz Minkiewicz?), że, jak malarz Humbugowicz malował na kłęczkach Pana Jezusa, to Pan Jezus objawił mu się i powiedział: — Słuchajcie, Humbugowicz, wy mnie nie malujcie na kłęczkach, tylko dobrze mnie malujcie.

A dobrze to znaczy: rzetelnie i na termin.

Serwus!

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Na Węgrzech wydano reprodukcją serię z 10 znaczków wykonanych rotograwiurą z podobiznami bojowników o wolność.

SPORT

W KRAJU. — Bielsko. W drugim dniu mistrzostw Polski w pływaniu, Kaletówna ustanowiła 2 nowe rekordy Polski w biegach na 100 i 200 m. stylem klasycznym: 1:35 i 3:21 min. W punktacji ogólnej mistrzostw prowadził Piast Gliwice 152 pkt. przed BHTS 144 pkt. — Kraków. Na meczu piłkarskim Wisła-Skra (wygrała Wisła 9:1 (4:0)), na czoło strzelców krakowskich wysunął się Gracz, zdobywając podeszając meczu 7, a w ogóle mając na swym koncie 26 bramek. Dalsze wyniki ekstraklasy: Cracovia-Orzeł 6:0; Polonia W-wa-Ognisko 13:1 (4:1); Polonia Bytom-Szombierki 1:0 (1:0); KKS Poznań-Motor 9:1 (3:1); AKS-Radomiak 2:1 (2:0); RUK-ZZZK 2:0 (1:0); Rymer-Pomorzanin 7:0 (1:0); Gedania-Grochów 8:0 (1:0); ŁKS-Czuwaj 3:0 (1:0); Lublinianka-RKS Olsztyn 1:0 (0:0); WKMS-PKS Szczecin 3:1 (2:0).

ZA GRANICĄ. Czechosłowacja. Piłkarze krakowskiej Wisły, bawiąc na gościnnych występach w Pradze rozegrali kilka meczów, wychodząc z wszystkich zwycięsko. Wyniki: Wisła-Nusle 4:2 (1:1); Wisła-SK Skalný 4:0 (4:0) i Wisła-SK Teplice-Retenice 3:2 (2:0). — Turcja. Bob Fitch, znakomity lekkoatleta amerykański, znany w Polsce z występów w Katowicach, na zawodach w Istanbulu osiągnął w rzucie dyskiem wspaniały wynik 54,80 m. Wynik ten jest lepszy od oficjalnego rekordu świata.

KAPLANI FUTBOLU

Historia futbolu rzadko kiedy notuje na swych kartach nazwy drużyn lub reprezentacji, wyróżniających się wybitną grą. Największe bowiem opanowanie techniki, taktyki i gry zespołowej nie może zastąpić — dla oka chociażby — brawury i błyskotliwości, na jaką zdobywa się tylko pojedynczy zawodnik. Niezwykła historia puszcza więc w niepamięć zbiorowe batalie, natomiast hołubi w swej pamięci wielkie indywidualności, zśród nich jeszcze ma osobliwą słabość do bramkarzy. Ci, których najczęściej znosi się wśród aplauzu z boiska, których szalenie robinsonady urastają do miary heroicznych wyczynów — właśnie otaczani są często legendą, a jakiej na próżno marzą poeci. Nie umiałbym dziś wymienić bodaj nawet pięciu nazwisk sławnych przed wojną w świecie futbolistów, wyłączając z tego bramkarzy, bohaterów spotkań międzynarodowych, ratujących swą świątynię w najbardziej rozpaczliwych sytuacjach. Samotny fenomen Zamorra, a po nim sławni „internacjonalowie”: Planicka, Platzer, Oliveri, z Polaków: Loth, Foltwicz, Albański, Madejski. — Najlepiej wyszkolony bramkarz może zaprzepaścić mecz, jeśli umiejętności technicznej nie łączy z ofiarnością i poświęceniem, godnych Leonidasów (tego ze Sparty i tego czarnego Brazylijczyka, co w Paryżu strzelał nam kłoso goale).



ednakowo dobre
OD ROKU
1910

BUDYNIE
PRZYPRAWY do CIAST
ZUPY-BULION



STROJWAS



- Byles podobno, Augustcie, wczoraj na zebraniu tych demokratów!
- Tak, ale tylko dla podstępów. Jak Odysseusz.
- A po co brales ze sobą Reaksika?
- To jest mój pies trojański...

Najnowsze fasony kapeluszy damskich i męskich poleca F-mo

KAROLINA ORŁOWSKA
ŁÓDŹ, GŁÓWNA 9

PASTA DO ZĘBÓW

ENOOLA

LAB-CHEM · J. POROWSKI · WARSZAWA
ŁÓDŹ · NAPIÓRKOWSKIEGO 24 · TEL. 177-00

KOSMETYKI

KREMY
PUDRY
POMADKI
TUSZ

scala

LABORATORIUM KOSMETYCZNE · WARSZAWA
PRŹNA 14

Zęby czyści najlepiej

PASTA

IDIENS

Warszawskiego Laboratorium
Chemicznego Sp. Ak.

Do nabycia we wszystkich większych
perfumeriach i składach aptecznych

Uporczywe zaparcie

kamienie żółciowe, choroby wątroby, żółdka i kłuszek, artretyzm, złą przemianę materii zwalczają

ZIOLA „CHOLEKINAZA”
H. Niemojewskiego

Sprzedaj w aptekach i skl. apt.
Lab. Fizj.-Chem. „Cholekinaza”
Warszawa, ul. Mokotowska 50.

REDAGUJE ZESPÓŁ
WYDAWCA: SPÓŁDZ.
WYD. „CZYTELNIK”

REDAKCJA: KRAKÓW, PIŁSUDSKIEGO 19a (GODZ. 12-14) TELEFON 559-54
RED. WARSZAWSKA: DASZYŃSKIEGO 14, POK. 217 (GODZ. 13-15) TEL. 879-36
ADMINISTRACJA: KRAKÓW, WIELOPOLE 1. TELEFON 545-60, -61, -62

ŁĄCZONO W Drukarni Narodowej w Krakowie

CZYTELNIK

PUGACZEW W NETTUNO

Rzym, w lipcu 1947 r.

„Wydział prasowy LUX-FILM-u uprzejmie prosi W. Pana o zaszczytanie swoją obecnością wycieczki do Bielogorska.

Program dnia:

- godz. 9 wyjazd auto-pullmanem z placza Colonna
- godz. 10.30 dojazd do wioski nadwłoskiej Bielogorsk,
- godz. 11 przyjęcie przez hetmana Pugaczewa i zwiedzanie
- godz. 13 śniadanie
- godz. 15 szarża kozaków i bitwa o Bielogorsk“.

Zaintrygowany zaproszeniem, stawilem się nazajutrz punktualnie na placza Colonna, gdzie oczekiwali na odjazd dziennikarzy zagraniczni i filmowcy.

Niespodzianka wyjaśniła się dopiero po dojeździe do Anzio-Nettuno, miejscowości upamiętnionej alianckim desantem z początku 1944 r. Zaledwie bowiem mineliśmy cmentarz wojskowy i wykroczyliśmy w stronę morza, gdy, jak spod ziemi wyrosła przed nami najprawdziwsza starorusyjska wioska, z rynkiem, cerkiewką i drewnianym cokołem.

Tu na obszernej, nadmorskiej równinie reżyser Mario Camerini realizuje powieść Puszkina „Córka Kapitana”. Rolę tytułową gra młodzianka Polka, Zosia Warchaławska, znana na zachodzie pod pseudonimem Irasema Dilian. W miarę ponurym Pugaczewem jest wytrwały artysta włoski Amadeo Nazzari. Około tysiąca figurantów i statystów zatrudnionych jest przy planach. Gigantyczny ten film zapowiada się rzeczywiście wspaniale.

Bo produkcję i reżyserzy włoscy nie próżnują. Dzięki zastrzykom kapitału amerykańskiego, ale przede wszystkim dzięki pracy włoskich filmowców, Italia produkuje dziś trzy razy więcej filmów niż przed wojną, mimo zniszczeń studiów, urządzeń laboratoryjnych i zarekwirowania głównego centrum filmowego pod Rzymem przez Anglosasów.

Przoduje największy koncern filmowy włoski LUX-FILM, który w latach 1945-46 wyprodukował czternaście du-

FILM



Nakręcanie „Córki Kapitana”

gometrażowych filmów muzycznych, dramatów, komedii itd. Jednym z najbardziej ciekawych jest „Wyjazd o 7-cj” (Partenza ore sette), ilustrujący przygody trupy wędrownych aktorów i śpiewaków, których autobus zatrzymany zostaje przez bandę rzeźmieszków i ci wszystkich uczestników rozbierają i obrabowawszy puszczają prawie nago.

Obecnie LUX-FILM, po za „Córka Kapitana” kręci „Zbrodnię”, według powieści d'Annunzia.

Po większej części jednak filmy włoskie nie rozchodzą się jeszcze za granice półwyspu. Mimo to jeden z największych włoskich reżyserów, twórca „Scypiona Afrykańskiego”, Carmine Gallone (żonaty z Polką) jest optymistą: „Praga się dziś nie liczy — mówi. — Znikło prawdopodobnie na długie lata największe centrum filmowe w Europie, jakim był Berlin przed wojną. Na kontynencie pozostali Rosjanie, Francuzi i my. Wydaje mi się, że możemy śmiało z nimi konkurować”.

A tymczasem tłumy publiczności obiegają od dwóch tygodni trzy najwspanialsze rzymskie kina, gdzie zachwycają się śliczną, znaną już w Polsce kolorową bajką „Flora di pietra” (Kamienisty kwiat), produkcji sowieckiej.

W. Alexander

W Czechosłowacji propagowane są i dużą popularnością cieszą się kluby filmowe, zakładane nawet po najmniejszych miastach. Każdy klub, liczący więcej niż 300 członków, ma prawo mieć swego reprezentanta, który przedstawia centrali filmowej w Pradze dezyderaty danego klubu. W ten sposób zorganizowani kinomani mogą wpływać na to, jakimi filmami obsłynie jest miasto, w którym zamieszkują.

Austriacka wytwórnia „Donau-Film” nakręca obecnie film pt. „Arlberg-express będzie miał dziś opóźnienie”, ze znanym sprzed wojny aktorem. Hansem Moserem w roli głównej. Treścią filmu są powikłania w życiu wielu osób, spowodowane nie przyjeściem ekspresu na czas. Bowiem ze funkcjonowanie kolei jest do dziś jednym z największych uprzejmów Austrii

U WRÓŻKI



...ale dopiero wtedy szczęście cie czeka — kiedy zaczniesz stosować kosmetyki „Florina”.



Weronike Lake pamiętamy z tyle ciekawego, ile nudnego filmu „Bohaterki Pacyfiku”. — Sądząc po tym filmie, aktorka owa nie jest żadnym nadzwyczajnym zjawiskiem. Prasa amerykańska, twierdzi jednak, że młoda artystka jest rewelacyjnym talentem i że wybieje się wkrótce na czoło gwiazd filmowych USA. Po „Bohaterkach Pacyfiku” nakreśliła już szereg nowych filmów, które zapewne dopłyną wkrótce do Polski. Wówczas będziemy mogli naocznie przekonać się, ile w opinii prasy filmowej USA jest znawstwa, a ile — dolarów, wpłaconych na reklamę gwiazdy

GWARANTOWANE

LEPY na MUCHY

Prima AGO 1947



Kraków, Lubicz 42, tel. 545-50



NAJSŁYNIEJSZY PSYCHOLOGOLOG MARTYNI, darem jasnowidzenia nieomylnie przepowie każde mu wydarzenie życiowe. Określi dokładnie charakter, kierunek zdolności, rady, przeznaczenie. Według obliczeń kabalistycznych, pod szczęśliwy numer losu Loterii Klasowej. Napisz pytanie, datę urodzenia, załącz 100 — zł zadatku. Odpowiedź płatna za zaliczeniem

MARTYNI, KRAKÓW 18 skrytka pocztowa 475

Janusz Meissner

WILK, RYS I DZIEWCZYNA

Jest w tej książce to wszystko, co może nam dać zapomnienie o szarzyźnie dnia codziennego — i stworzyć przyjemny nastrój w dniach urlopu!

Marika Stiernstedt

ZAMACH W PARYŻU

Powieść, którą się czyta z najwyższym zainteresowaniem, jednym tchem — przy tym powieść psychologiczna o niezwykłej mocy!

Agatha Christie

6 PUDELEK ZAPALEK

NOC W BIBLIOTECE

Powieści sensacyjne Agathy Christie mają już usłaną światową sławę. Są to kapitalne powieści psychologiczne, w których wątek kryminalny pozwala autorce ukazać ludzi z wszystkimi ich namiętnościami.

ZADAC WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH „A W I R”

Wyroby niedosięgniętej jakości



HENRYK ŻAK

Fabryka perfum, kosmetyków i mydeł toaletowych - POZNAŃ



UPIEKSHA UDELIKATNIA I CHRONI CERE

FALKIEWICZ-POZNAŃ

PONIATOSZCZAK



Polska jest bardzo modna. Zjeżdżają się do niej cudzoziemcy trochę tak, jak zjeżdżaliby ludzie do domu, który soloną, a na pień w naszym piętrecie ocalały jakimś cudem dwie kaczki, więc trzeba te kaczki oglądać. — Ostatnio przyjechała p. Elze Kalsass, kustoszka muzeum Thorwaldsena w Kopenhadze. Chce pisać prace o wielkim rzeźbiarzu, więc zbiera do niej materiały i na naszym terenie.

Nie wiem, czy pani Kalsass dowiódł się podczas swego pobytu w Polsce o burzy, która się rozgrywała w Warszawie dookoła pomnika księcia Poniatowskiego, druta Thorwaldsena. Lepiej, żeby się nie dowiedziała, bo sprawa pachnie skandalem.

Pomnik ten został — jak wiadomo — zniszczony przez Niemców, lecz Dania postanowiła zrobić nowy jego odlew i ofiarować Polsce. Znalazł się wszadzie jakiś podskakiewicz demokracji, który wyjechał z tym, że księcia w nowej rzeczywistości nie można stawiać na dawnym miejscu, na Placu Saskim. Ze może stać najwyżej na tyłach Muzeum Narodowego, tj. na pewnego rodzaju honorowym śmietniku. W Warszawie, która zawsze lubiła swego księcia, zawrzało...

Co do mnie, proponuję polubowne rozwiązanie sprawy. Poniatowski był niezmiernie popularny nie tylko w saloonach, lecz bardziej może na przedmieściach, wśród prostego ludu Warszawy, nazywanego dziś szeroką masą. Można by więc zostawić pomnik księcia na dawnym miejscu, a tylko zmienić pod nową rzeczywistość napis na cokole. Zamiast: „Księżu Poniatowskiemu — Naród“ dać: „Poniatoszczakowi — Klercelak“.

ANGIELSKIE KANTY

Podstępni Anglosasi nie ustają w coraż do nowych zabięciach, mających na celu wywiedzenie w pole narodów młujących pokój. Jak doniosła swieża „Ziemia Pomorska“ nr 207:

Grupa posłów Labour Party wystąpiła z wnioskiem o redukcję brytyjskich sił zbrojnych. Rząd brytyjski opracował już projekt demobilizacji kilkunastu żołnierzy.

Dowiadujemy się nado z oburzeniem że dwóch z nich będzie zdemobilizowanych fikcyjnie! Będą nosili bieleżną spodnią wojskową, z tym, iż będzie im wolno okazywać ją



— Uplekłaś ciasto trochę za lekkie!

(R. Keller)

ROZMAIŁOŚCI

KRÓLIKI Z RAVENSBRUCK

Niedawno zmarła w Zakopanem Barbara Pietrzyk, lat 21, więziennica obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, jedna z 14 Polek operowanych w tym obozie, a nazywanych przez władze obozowe: królikami. Doświadczalnymi (Versuchungsstapeln).

Pietrzykówna była aresztowana w Warszawie, w roku 1940, za kolportaż prasy podziemnej. Miała więc 14 lat, kiedy dostała się na Pawlak. Kiedy została wiosną 1942 roku poddana w Ravensbrück pierwszej operacji kostnej, miała lat 16. Łącznie przeszła sześć ciężkich operacji, które polegały na tym, że jej wyćniano kawałki kości w nogach, a potem obserwowano, czy tkanka kostna w miejscach wyciętych odrasta. W związku z tym Pietrzykówna pobila pewien rekord: została, po wyjściu z obozu, uznana oficjalnie za okrutnie maltretowaną tam ofiarę.

Do kraju dobiegły, oczywiście

własnym, jak najbardziej prywatnym zachodem, 54 „króliczki“ i zaczęły próbować żyć. Najpierw miały nadzieję, że zostaną powitane jakoś bardzo serdecznie, że kraj się nad ich cierpieniem zadrży, zapłacze, a potem rozkłada je w odpowiednich sanatoriach. Potem ludzi się już tylko, że doczekają się pomocy choćby na początkowy okres życia w nowym, trudnym dla kalek terenie. Ale nie nic się takiego nie stało. — Pewnego dnia zawieziono je do kliniki w Gdańsku, gdzie je obfotografowano, opisano i... postawiono własne losowi. Chodziło tylko o efektywność materii dla Trybunału w Norymberdze. Pietrzykówna nie została w kraju nikogo ze swej rodziny przy życiu. — Chciała się koniecznie uczyć. Już w lecie 1945 r. zdała maturę i zaraz zapisała się na uniwersytecie. Wykombinowała sobie, że zdoła się utrzymać z 2000 zł stypendium.

Bratniej Pomocy i z tego co sobie dopracuje, robiąc nocami na drutach rękawiczki. Miała jednak zrujnowane 6-krotnie powtarzanymi długimi narkozami serce, więc umarła. Jest trzecią z rzędu „króliczką“, która ocalała z obozu, by umrzeć w kraju, skutkiem zupełnego braku opieki i możliwości leczenia się.

Jest w tej „króliczej“ sprawie coś bardzo żenującego i nie wiem, jak do niej podejść. Sporo czytelników odpowie mi zapewne, że przesada jest zajmowanie się specjalnie losom kilkudziesięciu kobiet, skoro mamy miliony ludzi poszkodowanych przez wojnę, setki tysięcy dzieci, zagrożonych gruźlicą, inne setki tysięcy niedożywionych, bez mieszkań i szkoły. — To prawda, ale wydaje mi się, że kobietom z Ravensbrück dzieje się mimo wszystko krzywda. Może drobna, lecz dla nich dojmująca.

J. W-11.

W TYM SZALEŃSTWIE JEST METODA

Zjednoczenie Energetyczne Okręgu Krakowskiego dostało list od inżyniera Waldemara Samuela, zamieszkałego w Torze, w Pommern, adresowany do „P-a Ost-Energie A. G. Krakau“. Waldemar pisze 9 lipca 1947 roku co następuje:

„Nakoniec udało mi się wyjaśnić sprawę reszty należności z mojej pensji za luty i marzec 1944 roku, w wysokości 1348 marek 15 fenigów. Odcinając w styczniu 1945 roku z Krakowa prosiłem szefa biura o przekazanie mi tych pieniędzy bezpośrednio na mój adres domowy do Torgełow. Tymczasem Bank dyspozycyjny naszej firmy w Marienburgu dostał polecenie wysłania tych pieniędzy do Wiednia. Obecnie dowiedziałem się z pisma Banku Niemieckiego, że...

Pismo pana inżyniera kończy się prośbą o przesłanie mi wobec tego należnej sumy oraz „Jeśli to jest jeszcze możliwe o wystawienie świadectwa...“.

Korespondencja prowadzona poważnie między Bankiem Niemieckim a panem Samuelem Waldemarem w kwietniu 47 roku, na temat należności od „Ost-Energie A. G. Krakau“ — jest więcej niż zabawna. Jest to pewna metoda. Taką samą stosują symulanci w sądach: długo, konsekwentnie i we wszystkich należy udawać idiotę. — Może wtedy uwierzą, że „diese arme Deutsche“ nie są żadnymi zbrodniarzami, lecz tylko półgłówkami.

Teraz czekamy z kole na pismo Frau Frank proszące o wypłatę renty wdowie. KO.

SURSUS BZDURA!

Wśród polskiej emigracji stały się ostatnio b. modne wyrażania w Londynie żyletki „Nil desperandum“.



Trudno kpić z owej nazwy. Raczem ma się ochotę ciężko westchnąć. — W jednym z naszych miast popularne były w ubiegłym roku „Lody Pałak“. W Londynie może sprządać będą wkrótce wykałaczki „Polonia semper fidelis“. W Warszawie nie wykluczona byłaby moda na perfumy „Maki Oświeceniści“. Bo wiem pewnego typu rodacy pod każdą szerokością geograficzną cenią jednakowo dwie rzeczy: forsy i załgany patos.

(nadesłał: T. Pawluć)

OSOBISTE

W „Głosie Wielkopolskim“ nr 212 ukazało się następujące: **OSTRZEŻENIE!** Wszystkich, którzy wykorzystywali dobroć mojej żony Jadwigi ostrzegam, że użyję przysługującego prawa. Stanisław P-cki.

Za późno! Sąd niestety nie będzie mógł nakazać przywrócenia wykorzystanej Jadwigi do stanu dobroci początkowej. (nadesłał: M. Berezynski)



ma zaszczyt przedstawić „TRZY METRY RURY“ czyli **RAPSOD W BARBAKANIE** KOMENTARZ:

Rzecz dzieje się w królestwie, mieście Krakowie, gdzie poeci stają na głowie. Przez szparę w kurtynie widać Barbakan, czyli Rondel (obecnie najwspanialszy teatr plenerowy Europy). Właśnie idzie widownia Adama Polewki „Igre w gród wał“, a ponieważ w przeddzień lalo, Barbakan, na skutek braku 3-eh (trzech) metrów rury kanalizacyjnej, stoi idealnie pod wodą wraz z aktorami. Publiczność, orkiestra i Leninowi Pierogami Magistrackimi ze szpadami, widać Heraklit, „Woda, początek wieków“ „Jala Kurek. „Woda wyżej“ i inni

AKCJA: Kurtyna: (majestatycznie podnosi się z dołu do góry)

Deszcz: (znówu leje)

Chór Leniwych Pierogów Magistrackich ze szpadami: (śpiew polifoniczny)

Boże, wspieraj, Boże, ochroń! Nasz Barbakan i nasz Gród... **Ślawetne Pospółstwo:** (po szyję w wodzie)

O, jakże piękny jest Kraków... **Chór Leniwych Pierogów Magistrackich ze szpadami:** (c. d.)

bo w tym Rondlu strasznie mokro, przysłał się jaki kanalizacyjny cud.

Cud kanalizacyjny: (w ogóle nie następuje. Woda zalewa Ślawetne Pospółstwo, a częściowo i szpady Leniwych Magistrackich Pierogów)

Ślawetne Pospółstwo: (spod wody przest nos)

O, jakże błętny jezd Grągow! **O, JACZE BIEGNY JEST GRAGOW!**

Osiolatek Porfirion: (pojawia się n stąd nt zowud z trzema metrami rury kanalizacyjnej)

Wielkie słowa, dużo krzyku, Kuturn, patos, rapsod, chór. Nam nie trzeba Koperników, tylko kanalizacyjnych rur.

(zakłada w pocie czoła i uszu trzy metry rury. Woda spływa. Słotecz, względnie księżyc uschodzą. Igrze w gród wał, Deszcz nie leje!)

Leniwe Pierogi Magistrackie ze szpadami!

(Idą wobec tego i wata Osiolatek Porfiriona, idą go ukarać za niezdrowe zachęcania realizatorskie, zachcianki, powtarzanie, Panie Redaktorze, które w tak niezdrowy sposób psują ustalone od prawika kontury zamplonego mglistego biurokratycznego pejzażu)

Kurtyna: (majestatycznie opada z góry na dół ze słowami: „Ktoż wypowie twoje piękno, Krakowie prastary itd.“)

K. I. Gałczyński

ŻYCIE TEATRALNE

W Mszanie Dolnej bawił, w ramach inicjatywy prywatnej, Teatr Cyrkowy-Rewiowy. Z ulotek rozrzuconych po mieście ludność dowiedziała się, iż w programie teatru znajdują się następujące numery:

Dziś! - gość - Dziś!

Objazdowy TEATR
Cyrkowy - Rewiowy

Wielkie Przedstawienie
Atrakcyjne

Program:

| | |
|-----------------------|-----------------------|
| 1. Taniec kółkowy Dżi | 10. Bona akt periwier |
| 2. Dżi, wale | 11. Wesoły jary |
| 3. Bona? Kubuś | 12. Wesoły dżi |
| 4. Dżi, wale | 13. Dżi, wale |
| 5. Dżi, wale | 14. Dżi, wale |
| 6. Dżi, wale | 15. Dżi, wale |
| 7. Dżi, wale | 16. Dżi, wale |
| 8. Dżi, wale | 17. Dżi, wale |
| 9. Dżi, wale | 18. Dżi, wale |

NADPROGRAM:
W trzecie objazdowy teatr w Mszanie Dolnej przyjeżdża teatr z Krakowa, który przyniesie z sobą 100 sztuk i 100 aktorów.

Dziola, wale

Repreza? Kubuś

Henia, akt żonglerski

Entree Fifi Kubuś

Loda Nelson, akt zębny

Fifi Kubuś, Entree

Rena, akt parterowo-akrobacyjny

Wesoła Freska, Fifi i Kubuś

Koniki oryginalne Amarant

NADPROGRAM: W trumnie egipskiej znajduje się sama tylko żywa głowa ludzka, która przepowiada przeszłość i przyszłość i ile będzie żył lat.

Odtąd śnie sen o szczęściu (kosmiczny, Ze ta Dziola krzyknie „Entree!“ ku mnie i przeżyje akt zębno-akrobacyjny

Z samą głową w egipskiej (trumnie. (nadesłał: M. Stok)

Z ostatniej chwili (telefonem):

Pewne pisma zaatakowały fakt przyznania nagrody „Odrodzenia“ Jarosławowi Iwaszkiewiczowi. Zarzucają „Odrodzeniu“, że nagrodziło książkę o dużych uprzedzeniach artystycznych, lecz zbyt — ich zdaniem — pesymistyczną. Może być kwestią sporną, czy nagroda „Odrodzenia“ jest dostatecznym wyrazem uznania dla osiągnięć znakomitego pisarza? uważamy natomiast, że w braku stosownej nagrody państwowej, właśnie jedynym kryterium nagrody czołowego polskiego typownika literackiego winno być kryterium artystycznej doskonałości dzieła. I pod tym względem wybór Jarosława Iwaszkiewicza był decyzją jak najbardziej trafną. Jest on bowiem jednym z niewielu pisarzy, pod którego piórem język polski osiąga szczyt doskonałości. Książki Iwaszkiewicza są szkołą literackiego języka.

A co do nagradzania książek słabych, lecz reprezentujących — zdaniem wspomnianych pism — wystarczającą krzepkę, to można ufundować specjalne nagrody, np. fabryki cukierków „Lizak“